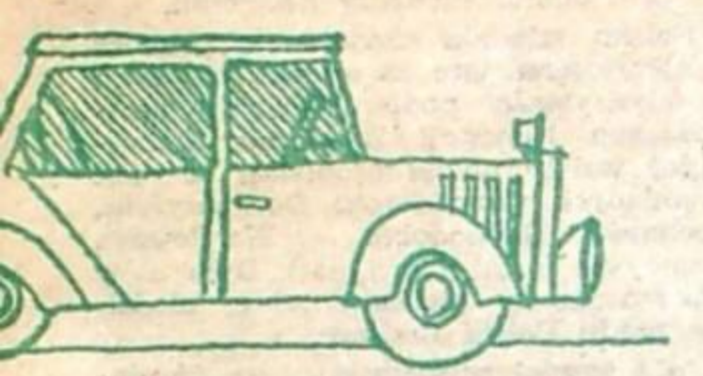




22 23 24 25 26 27 28 29



# Nagrody: dętki samochodowe, butle turystyczne

## ● KRZYŻÓWKA DLA ZMOTORYZOWANYCH ●

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ● ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0137-1108 Nr 7, 362514

# Kamena

NR 7 (905) 3 kwietnia 1988 Cena 35 zł

### Czy mur berliński zbudowali Chińczycy?

str. 4-5

### Handel niewolnikami w Lublinie

str. 9



ŚMIGUS DYNGUS  
Rys. Tomasz Wilczkiewicz

**M**AM przed sobą wielkanocny numer „Wieczoru Warszawskiego” z 1939 roku. Mogę odczytać go po swojemu, z perspektywy odległej i jakby bezinteresownej. Z pozycji odmiennego czasu. Wielkanocne święta w roku wojny wypadły ósmego i dziewiątego kwietnia. W marcu minister Beck wygłosił słynne sejmowe przemówienie. „Polska nie zna pojęcia pokoju za wszelką cenę”. Na kilka dni przed Wielką Sobotą podpisał w Londynie sojuszniczy układ. Z pozostałych już szpałt emanuje nastroj pozornego spokoju; gdzieś w tle,

dwóch mężczyzn. Rozmawiają. „A twoja żona, Johann, zrobiła jakieś ciasto?” „Ależ skąd. Ostatnie pół kilo masła zarekwirowano jej na armatę”. Ekran gaśnie i zapala się znów. Teraz widzimy dwie małe dziewczynki. „Czemu płaczesz, Gretchen?” „A bo nie mamy w tym roku jajek na święcone”. „Przecież macie kury?” „Tak, ale mama trzyma je w steni, gdzie słychać radio. Kury usłyszały mowę naszego führera i odtąd zamiast jajek znoszą granaty ręczne”.

## Ostatnia Wielkanoc przed burzą

Wiesław Horabik

za parawanem racjonalizmu i wiary, kryje się obawa. Ale gdy czytam teraz te zadawnione teksty, bardziej niż z podręcznika historii dociera do mojej świadomości codziennie-wielkanocne czucie tamtej epoki. Jest w nim zaduma, odrobina niepewności i zwykły wymiar wiosennego świętowania. Oto redakcyjny, jak mniemam, futurolog, przewidując przyszłą zawrotną karierę telewizji, proponuje, by na ekranach domowych odbiorników podpatrzeć świąteczne obyczaje u bliższych i dalszych sąsiadów: „Skoro już mówimy o Niemczech, nastawmy nasze aparaty na Rzeszę. Ekran rozjaśnia się powoli, widzimy postacie

koju? A przy tym, czy nie mieści się w nim również odprysk swoistej nonszalancji? Te przesławne także ry-sunkowe, choćby o syntetycznych jajkach produkowanych z odpadków, będą się przewijać niemal na każdej stronie. Numer otwierają wszakże komentarze polityczne w powiązaniu z religijnymi treściami Wielkanocy. „W dniu Zmartwychwstania siłni — zwarci — zdecydowani. W roku bieżącym stanęliśmy wobec dużych trudności, niełatwych do pokonania zadań. Wiemy, że minął czas wygody, dyskusji na temat pokoju i wojny. Ojczyzna żąda od

Dokończenie na str. 10



Obywatel hrabia Zamoyski — str. 2—3

# Obroty spraw

## KOALICYJNOŚĆ A POLITYKA KADROWA

Z przemówienia Wojciecha Jaruzelskiego na X Kongresie ZSL: „Rola partii w koalicyjnym systemie rozumie my jako wyraz historycznej, ustrojowej i klasowej prawidłowości budowy socjalizmu. Odrzucamy dyrygowanie. Jest ono dobre w orkiestrze, nie w polityce. Autentyczny sojusz wymaga, aby partnerzy mieli poczucie tożsamości i odrębności, praw i obowiązków, aby ich współpracę cechowała lojalność i wzajemne poszanowanie. [...]”

Koalicyjność zakłada współdziałanie również w polityce kadrowej. Jest to dziedzina delikatna, złożona. Powinniśmy razem stawiać na rzeczywiście najlepszych, niezależnie od tego, czy są członkami partii, stronnictw czy bezpartyjnymi. Tzw. klucz kadrowy jest narzędziem pomocniczym. Najważniejsze, abyśmy precyzyjnie i kompetentnie określali kryteria polityki kadrowej, a następnie stali wspólnie, jawnie i sprawiedliwie na straży ich przestrzegania” („Trybuna Ludu” z 23.03.br.).

## „EMIGRANT TO TEŻ POLAK”

Pod takim tytułem publikacja Jerzego Domańskiego w „Życiu Literackim” (nr 11). Autor cytuje wypowiedź Józefa Klasy, sekretarza generalnego Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”:

„Ulec zmianie powinien również stosunek do wielkich dowódców wojskowych z okresu drugiej wojny, niezależnie od tego, jak są oni oceniani od strony politycznej, nie wyłączając takich postaci jak gen. Anders. Ważne to jest szczególnie w przededniu 50 rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej i 70 rocznicy odzyskania państwowości polskiej. Jesteśmy w dobie korygowania wielu faktów z czterdziestolecia, likwidowania „białych plam”, nie możemy zatem tamtego obszaru zostawić u górem i wstydzić się ludzi, którzy walczyli i umierali za Polskę”.

## „UMARŁ MACIEK, UMARŁ”

W czasopiśmie trwa wymazywanie „białych plam” — głównie przy pomocy tłumaczeń z prasy radzieckiej — dotyczące przede wszystkim epoki stalinowskiej. Pośród tragicznych i ponurych wydarzeń w tamtych czasach zdarzały się i takie, o których pisze znany adwokat, Henryk Nowogrodzki, w cytowanym numerze „Życia Literackiego”:

„Znaną balerinę i wybitnego tenora śmierć Stalina zastała, zdaje się, w Lublinie podczas koncertowego tournée. Zmieniono więc repertuar występu i sławna tancerka odtańczyła „Śmierć łabędzia”. Jakś to uszło. Ale tenor wybrał arie, którą bardzo lubił. Zaśpiewał więc: „Umarł Maciek, umarł i leży na desce, kiedy mu zagrają, to zatańczy jeszcze”.

Na widowni miejscowi promineneci zaczęli się kręcić na swoich fotelach, niektórzy ostentacyjnie wyszli z sali, a on śpiewał i śpiewał. Oboje byli o krok od oskarżenia. „Śmierć łabędzia” i „Umarł Maciek” potraktowano jako rzuśliwą aluzję. Jak można było tańczyć i śpiewać takie rzeczy. Nie rozumiał tego tylko tenor. Zawsze — mówił — to się bardzo podobało, zawsze się podobało...”

## BĘDZIE KRYZYS ENERGETYCZNY

Marian Gustek, przewodniczący Państwowej Rady Górnictwa: „W 1990 roku planujemy deficyt 2 tysięcy megawatów, to jest najwięcej, jak było dotychczas. Nie wiem,

może będą wyłączenia prądu, może telewizję trzeba będzie ograniczyć do paru dni w tygodniu, zaciemniać ulice, oszczędzać w przemyśle. Nie, dziś jeszcze nie mogę powiedzieć, na ile uda się złagodzić skutki nadchodzącego kryzysu. To zależy od tego, w jakim stopniu politycy, konstruktorzy, inżynierowie, wreszcie całe społeczeństwo przejmie się programem oszczędzania energii. Tym razem nie wystarczy już tylko gaszenie żarówek” („Tak i Nie” nr 11).

Budowaliśmy drugą Polskę, mieliśmy budować drugą Japonię, może zbudujemy drugą Rumunię, bo tam u nich w energetyce też trudności (oczywiście przejściowe).

## Z FRONTU BITWY O 10 PROCENT

Głośno w naszej prasie o 10-procentowej „dopłacie” do cen samochodów osobowych, pobieranej w latach 1986—87 od klientów kupujących w „Polmozbycie” takie pojazdy, a przeznaczonej na „fundusz modernizacji produkcji samochodów osobowych”.

Jak wiadomo — przy okazji sprawy Małgorzaty R. z Wrocławia — Sąd Najwyższy orzekł m.in., że „dopłata” tego rodzaju „nie może być uznana za prawny element ceny umownej. Pobieranie tej kwoty obok ceny nie znajduje podstawy prawnej”. „Cała próba przerzucenia 10-procentowej dopłaty na klienta była od początku do końca bezprawna” — skomentował w wydarzenie Stanisław Podemski w „Polityce” (nr 12). „Cieszą się tysiące właścicieli maluchów, fiatów i polonezów, którzy je nabyli w latach 1986—1988, bo otrzymają zwrot pobranych nieprawnie pieniędzy” — napisano w „Morzu i Ziemi” (nr 11).

Ja tam się nie cieszę, choć Małgorzata R. sprawę wygrała, a mnie się ewentualnie należy 31910 zł, „dopłacone” do zakupionego półtora roku temu 126p. Bo o to Maria Guzowska podała w „Ekspresie Wieczornym” (25.03.br.) ostatni meldunek z frontu:

„Rzecznik [Sądu Najwyższego] stwierdził, że wyrok SN jest wiążący tylko w tej konkretnej sprawie, inne tego rodzaju przypadki mają być rozpatrywane przez sądy i oceniane w zgodności z zasadami współżycia społecznego, z uwzględnieniem faktu, że nabywanie samochodów na asygnaty jest swoistym przywilejem, a na rozwoju motoryzacji — na co przeznaczony jest fundusz — powinno zależeć klientom! I w tym momencie zimna woda zamieniła się w oliwę dolewana do ognia.

Bo to oznacza, że każdy spośród tysięcy klientów „Polmozbytu”, jeśli czuje się skrzywdzony i oszukany, musi wnieść sprawę do sądu, nie mając żadnej gwarancji na pozytywny dla siebie wyrezyt, ponieważ orzecznictwo sądów może być rozbieżne”.

Według mnie — cichym bohaterem bitwy o 10 procent jest człowiek z pierwszej instancji, sędzia Sądu Rejonowego we Wrocławiu, który odważył się uwzględnić rozszczenie Małgorzaty R., kwestionując tym samym dyktaturę producenta.

## CO MÓWIŁY PLOTKI O BENZYNIE?

W tym samym numerze „Ekspresu Wieczornego” wypowiada się Andrzej Gałęziński, zastępca dyrektora Centrali Produktów Naftowych: „Plotki mówiły o tym, że benzyna po cenach komercyjnych będzie sprzedawana już od 1 kwietnia. Były to jednak tylko plotki. Benzyna po cenach komercyjnych na razie nie będzie w sprzedaży. Nie też nie zmieni się w zasadach korzystania z rezerwoleń na dodatkowe tankowanie”. „Benzyna po cenie komercyjnej wcześniej czy później znajdzie się jednak w sprzedaży” — komentuje „Ekspres”.

No i teraz już wszystko wiemy.

Pdg

## Nie kłam, RG!

NA moje krytyczne (bardzo zresztą ogólnie) uwagi w poprzednich notatkach, dotyczące sposobu redagowania „Słowa Podlasia” i poziomu prezentowanej w nim publicystyki, odpowiedział mi sążnście w tymże „Słowie” RG. Nie będąc zakłócać sobie urlopu i dyskutować (byłaby to zresztą rozmowa ze ślepem o kolorach) z autorem, który usiłując polemizować ze mną, nie ma nawet odwagi, aby podpisać się własnym nazwiskiem, a w dodatku myli czasopismo z maglem. Skoro brak odpowiednich argumentów, można i tak, ale redaktor naczelny ty-

godnika, p. Romuald Gałęziński, kwalifikując ten tekst do druku, potwierdził tylko to, czemu dałem już wyraz.

RG może czytać jedynie „Słowo Podlasia” i z jego lektury czerpać odpowiednie wzorce, niemniej redaktor naczelny pisma powinien przynajmniej od czasu do czasu sięgnąć i po inne czasopisma. Wówczas nie puściłby takiego np. zdania: „Ale jak odpowiedzieć na zarzut Marka Jaworskiego, który ponoć czytał w prasie o ogłoszonym przez nas konkursie, podczas gdy w żadnym znanym nam tytule nie takiego się nie ukazało. Pan Jaworski słyszał dzwony, ale nie z tego kościoła”.

Nie kłam, RG! Ukazało się! Na łamach „Tygodnika Chelmskiego” i miesięcznika SD PRL „Prasa Polska” (nr 3).

To ostatnie pismo czytują jednak głównie dziennikarze, więc zarówno RG jak i p. R. Gałęziński mają prawo go nie znać, ale „Tygodnik Chelmski” wychodzi przecież dosłownie za miesiąc! Czyżby komunikat o konkursie „Słowa” zaniósł do Chelma i Warszawy krasnoludki? Czy w „Słowie” rządzą ten, kto pierwszy zjawi się w redakcji i dlatego nie wie lewica, co czyni prawica?

Jest, panie Gałęziński, tańce stare łacińskie przysłowie: „cucullus non facit monachum”, co po polsku znaczy: kapłan nie czyni mnicha. Z nominacji można zostać nawet redaktorem naczelnym, ale i do Kischy i do Kasza ciągle droga daleka. Życia zwykle nie starczy, by ją pokonać!

M. A. Jaworski

wzbogacono o kolejną skalę pozyję: cykl wykładów i spotkań z wybitnymi postaciami polskiej nauki, kultury i polityki. Jako pierwszy wystąpił rektor UW, prof. Grzegorz Białkowski, fizyk i poeta, czasami publicysta, który przedstawił „Analizę porównawczą nauki i sztuki”.

Pod egidą krakowskiej Galerii Teatru STU wystąpiło w Lubelskim Domu Kultury trzech aktorów: Jan Peszek, Andrzej Grabowski i Mikołaj Grabowski, którzy dali spektakl wedle „Scenariusza dla trzech aktorów” Bogusława Schaeffera. Rzecz to błyskotliwa, oparta na koncepcji „metateatru”.

23 z kolei księgarnia lubelską otworzyło w gmachu Politechniki Lubelskiej przy ul. Nadbystrzyckiej 36. Literatura techniczna, skrypty, ale i proza z poezją — oto co jest lub będzie wkrótce na półkach nowej placówki.

Akwaforty Jana Szmatocha (ur. 1930) można oglądać w Małej Galerii Grafiki, istniejącej od niedawna — przypominamy — w Muzeum im. Czechowicza w Lublinie.

Galeria Grodzka BWA w Lublinie oraz autorzy: Kwiek i Kulik zapraszają na wystawę o takiej zawartości: „Obiekty, Encyklopedia Meyersa 75, Sztuka w Majtkach 78, Skróty 84, Festiwal inteligencji 85, Kraty 85, Torby 86, Instalacja, Appearance”.

Marek Tomaszewski ze swoim nowym partnerem, Michalem Prezmanem, dał w Lublinie koncert fortepianowy, wypełniony klasyką.

Znany z łamów prasy regionalnej i ogólnopolskiej, Szczepan Sadurski prezentował swój rysunek satyryczny w Klubie MPIK w Zielonej Górze (gdzie niedługo odbywały się wystawy i dyskusje słynnego „Złotego Grona”). Natomiast lubelskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego przyłożyło się do organizacji sesji „Muzyka Henryka Wieniawskiego”, która odbyła się 25 marca w Liceum Ogólnokształcącym w Wysogrodzie.

Józef Szajna rozmawiał o swojej sztuce z młodzieżą szkolną Białej Podlaskiej, a następnie wziął udział w oryginalnej i sympatycznej imprezie „Imieniny Józefa”, w której uczestniczyło kilkunastu nieprecyzyjnie ohywatli miast, noszących oczywiście imię Józef. Dyskutowano o sytuacji w kulturze, o twórczości Józefa Ignacego Kraszewskiego — patrona imprezy.

Trwają prace poprzeczające otwarcie 11 Międzynarodowego Triennale Sztuki „Przeciw Wojnie” — Majdanek 88. Przedsiębiorstwo „Sztuka Polska” przyjęło własnie projekt ekspozycji, autorstwa Mieczysława Hermanna i Walentego Wróblewskiego. Przypominamy, że na tej wielkiej wystawie będzie można obejrzeć grafiki i rysunki 160 artystów z 29 krajów.

„Mandat” Erdmanna przedstawia z powodzeniem Teatr im. Osterwy w Lublinie. Premiera komedii radzieckiego dramaturga odbyła się w 1923 r.

CZŁOWIEK bywa kowalem własnego losu, ale zwykle o jego rolach życiowych decyduje historia, środowisko społeczne, wreszcie i najpewniej — przypadek. Jan Zamoyski urodził się w rodzinie ziemiańskiej, utytułowanej, mocno zakorzenionej w polskiej tradycji, zatem już w momencie przyjścia na świat był hrabią, a później — XVI z kolei ordynatem, panem na kilkudziesięciu tysiącach hektarów, które pozostały z rodowej fortuny, stanowiącej niegdyś, od schyłku XVI wieku, państwo w państwie.

Jan Zamoyski urodził się 12 czerwca 1912 roku, w osiemnastowiecznej rezydencji pałacowej w Klemensowie, która kryła 40 różnych pokoi i salonów. Wokół tej budowli, pamiętającej słynne „zjazdy klemensowskie” oświeconego ziemiaństwa, zwolowane przez hrabię Andrzeja gdzieś w połowie minionego stulecia, zielenił się pięknie park ogromny, zajmujący 190 ha.

Wtedy jeszcze dobrze było być hrabią, choć żywioł plebejski już rozpychał się lokciami w życiu publicznym, o czym świadczą np. niektóre nazwiska międzywojennych premierów, ministrów czy wojewodów. Warto jednak przypomnieć, że coś takiego zaobserwowano, w odpowiednio mniejszej oczywiście skali, kilkaset lat wcześniej. Otóż w Akademii Zamojskiej, powołanej u schyłku XVI wieku przez twórcę ordynacji, kanclerza i hetmana wielkiego koronnego, wkrótce przeważać zaczęła młodzież plebejska, choć fundator ustanowił uczelnię z myślą o junakach szlacheckich. Dość powiedzieć, że w dwa lata po śmierci tamtego Jana młodzież herbowa stanowiąca zaledwie pięć procent ogółu słuchaczy Akademii.

Polska szlachta okazała się przecieł wielkoduszna. Oto 26 marca 1988 roku w uroczystości podpisania aktu ustanowienia Fundacji Akademii Zamojskiej wzięli udział osobistości o tak brzmiących nazwiskach: Dobraczyński, Secomski, Suchodolski, Wasilewski, Zamoyski (ostatni ordynat). Było to w Warszawie, w monumentalnej siedzibie rządu Polską Ludowej.

Jaki żywioł zdominuje nową Akademię?

Co bardziej wyraziste role życiowe, przypisane jednostkom za sprawą okoliczności małych i dużych, mają taką naturę, że nijk nie chcą odczepić się od delikwentów. Nawet wtedy, gdy anihilacji ulegną ich realne mechanizmy, funkcjonują nadal jak perpetuum mobile.

Jan Zamoyski był i pozostał hrabią dla wielu osób, które tak właśnie go tytułują.

Ciekawe, bo cóż to dzisiaj maczy: hrabia?

Gdyby chociaż posiadał on trochę ziemi, jakiś hektar pod szkłem, albo wytwórnię zabawek plastikowych, bodaj udział w firmie polonijnej czy w ostateczności wielką wille w miejscowości letniskowej, intratnie wynajmowaną np. Hucie Katowice...

Tymczasem Zamoyski, po 21 latach pracy w warszawskim przedstawicielstwie „Swissair”, ma 16 tysięcy emerytury i mieszkanie w mokotowskim bloku przy ul. Falata, które dzieli z synem Marcinem, jego żoną i ich drobnymi jeszcze dziećmi: Różą i Andrzejem. Zajmowany przez nich pokój liczy raptem kilkanaście metrów kwadratowych, jest skromnie umeblowany, może tylko sekretarzki, prezent dla żony Róży w 1938 roku, chwalić się antykwareczną wartością starego wozu, Owsemem, całe mieszkanie jest dość obszerne, chyba wygodne, wykończone jak się patrzy i są w nim jeszcze ślady dawnej świetności: jeden fotel z pałacu w Klemensowie, pejzaż „Mnich” (1904) Wyczółkowski, sztychy angielskie z XVIII i XIX wieku, inne dzieła sztuki, których byłoby więcej, gdyby nie pewna słabość byłego ordynata do stron rodzinnych, trwale wpisanych w dzieje całego kraju.

Poza tym Zamoyski prowadzi się zwyczajnie: dorabia do emerytury, ciągle brakuje mu czasu, który spędza między Warszawą a Zamociem, dokąd jeździ prawie co miesiąc, porcinając od roku 1960.

Sam prowadzi samochód.

Pije kawę. Pali papierosy. Słucha tego, co ma do powiedzenia radiomagnetofon „Campo” Philipsa, stojący na podłodżnym parapecie jego pokoju.

Ale kiedy telefonuje do państwa Łojewskich, pytając o Zamoyskiego, słysząc w odpowiedzi: „Pan Hrabia je-

## KRONIKA KULTURALNA

400 lat temu pod flagą Bieczyną hetman Jan Zamoyski pokonał wojska arcyksięcia Maksymiliana Habsburga, biorącego do niewoli. O różnych aspektach i konsekwencjach tego zwycięstwa mówiono na sesji naukowej w zamojskim ratuszu (25 marca), przygotowanej przez Zamojskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk i UMCS.

„Międzynarodowa rola Chińskiej Republiki Ludowej i jej wyznaczniki”, to nazwa Innej sesji naukowej, która odbyła się w Kazimierzu Dolnym (17—19 marca), a zorganizowana została przez UMCS i lubelskie Koło Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Chińskiej. Oprócz polskich znawców przedmiotu, reprezentujących kilka uczelni krajowych, w obradach wzięli udział uczeni chińscy. Spotkanie zakończyła „uroczysta kolacja z chińską niespodzianką”, jak podano w stosownej informacji.

Interesujący program imprez w auli na Wydziale Prawa i Administracji UMCS

szczęście nie wrócił z powodzenia w ratuszu" Najwyraźniej słyszę „Hrabia”, a nie „hrabia”!

Owszem, pod względem fizycznym Jan Zamoyski akuratnie spełnia dawny model mężczyzny „rasowego”. Jest szczupły, w miarę wysoki, a siwizna jego włosów i wąsów dobrze komponuje się z harmonijnym rysunkiem twarzy. Poza tym jest w takiej kondycji, że bez specjalnej zadyszki wbiega na czwarte piętro, wyjaśnienie owej sprawności znajdując w służbie kawaleryjskiej z lat młodości, kiedy to po ukończeniu słynnej podchorążówki w Grudziądzu galopował w szwadronie 24. pułku ułanów kraśnickich, co wspomina z niejakim sentymentem,

czy w niektórych gatunkach nie dorównywały wiarusom” Tak lub inaczej, nie odpowiadały przecież zachodnim dyplomatom i ich polskim przyjaciółom którzy w związku z tym dla ratowania oddechu, zaczęli nachodzić Zamoyskiego, prosząc o umożliwienie kupna papierosów ze statków kapitalistycznych, obsługiwanych przez wspomnianą agendę. Hrabia wykazał zrozumienie dla nalogu owych palaczy, może nie wprost, ale skutecznie, no i w konsekwencji został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa na rzecz: Anglii, Belgii, Francji, Szwecji i Ameryki.

Nie służąc żadnemu wywiadowi, w 37 wiośnie życia Zamoyski okazał się superszpiegiem!

„Matka zawsze była naszą ochroną i ucieczką” — wspomina Jan Zamoyski.

### Hrabia Maurycy

Tymczasem Polska odzyskała niepodległość: a hrabia Maurycy został po-tem Rzeczypospolitej we Francji Wkrótce, bo w roku 1922, uległ presji Dmowskiego i zgodził się na wysunięcie swojej kandydatury w wyborach na prezydenta RP. Reprezentował prawie polityczną, ale szanowano go w znacznie szerszych kręgach społeczeństwa.

Rzecz w tym, że Maurycy Zamoyski posiadał nie tylko dobra materialne, którymi owocowała ordynacja, obejmu-

szawakien kościele św. Antoniego uczestniczyli m.in. minister Beck, wiceminister spraw zagranicznych Szembek, ambasador Lipski

9 maja ciało Zamoyskiego przewieziono do Zamościa, składając je w krypcie kolegiaty, obok trumien wszystkich poprzednich ordynatów i ich najbliższych...

### Con amore

Praca w przedstawicielstwie „Swissair” była dla Jana Zamoyskiego życiową koniecznością, natomiast pasją i miłością stało się miejsce ukształtowane niegdyś przez Morandę.

Po raz pierwszy po latach przymusowego odosobnienia hrabia odwiedził miasto w 1957 roku, wynosząc zeń przygnębiające wrażenie. „Wyglądało jak przedwojenne, kresowe Równe, albo Jeszu ze gorzej”.

Trudno zliczyć manewry, jakie dla ratowania Zamościa przedsięwziął ostatni ordynat wspólnie z Jerzym Kowalczykiem (dziś prof. w Instytucie Sztuki PAN) i pozostałymi członkami Koła Zamościan w Warszawie, założonego w 1980 roku przy PTTK (a od paru lat kierowanego właśnie przez Zamoyskiego). Odnajdujemy tylko, że uruchomiony przez siebie szerokie wpływy i koneksje, grupa ta doprowadziła w roku 1974 do wizyty w Zamościu Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza, pokazując im „perle” od najgorszej strony. To posunięcie miało znaczący wpływ na późniejszą decyzję rządową, które stworzyły mocny fundament pod kompleksową rewaloryzację miasta.

W 1985 roku Zamoyski zajął się dziełami sztuki i dawnego rzemiosła artystycznego, rozrzuconymi po kolegiacie, i sukcesywnie zaczął kierować je do konserwacji — na koszt własny, za cenę uszczuplenia własnej kolekcji, której część, dla uzyskania środków finansowych, musiał oddać „pod młotek”. Dzięki temu 25 października minionego roku w celowo wyremontowanych salach infulatki przy kolegiacie można było otworzyć całkiem interesujące muzeum, eksponujące m.in. ornaty, wyjątkowo wartościowe portrety trumienne i inne obrazy, dzieła sztuki złotniczej, orientalne tkaniny oraz podarowane przez ostatniego ordynata popiersie kanclerza Jana, autorstwa Le’a Bruna.

Budzi zaufanie konserwacja obiektów, wykonana przy użyciu specyfików sprowadzonych z Francji i innych krajów zachodnich.

Nie do „złamania” zdaje się być elektroniczny system zabezpieczenia zbiorów, wyprodukowany w RFN.

Zapytany ile to wszystko go kosztowało, Zamoyski napomyka tylko, że konserwatorzy samorzutnie wystawiali zanilzone rachunki, a pan Łojewski, zwykle zajmujący się naprawą telewizorów, tak czuwał nad remontem sal muzealnych, jakby chodziło o jego własne mieszkanie.

Od początku XIX wieku do roku 1945 ordynaci posiadali w Warszawie okazały pałac Błękitny przy ul. Senatorskiej, który w historii architektury polskiej utrwalił się formą nadaną mu przez Fryderyka Lessla podczas przebudowy na zlecenie Stanisława Kostki Zamoyskiego, wybitnego działacza kulturalnego i politycznego. Hrabia Maurycy z rodziną przebywał tam od późnej jesieni do wiosny, ciepłe miesiące roku spędzając na Zamojszczyźnie — bo tego wymagały interesy, zdrowie ale przede wszystkim i sentyment do wielkiej tradycji, przenikającej dookoła krajobrazy.

Jasne jest chyba, dlaczego artykuł ten nosi tytuł: „Obywatel hrabia Zamoyski”. Nie zawadzi przecież, jeśli do owych „racji” dorzucę jeszcze cytaty z książki ostatniego ordynata, wydanej w 1984 roku:

„Kierować losami narodu i państwa można jedynie na miejscu, w odczuciu. Emigracja, nawet najbardziej patriotyczna ofiarą i rozumnie patrząca na rozwój wypadków w swoim kraju, wyciągająca wnioski z politycznych przemian, by zgodnie ze swoim sumieniem na nie wpływać, nie będzie w stanie odczuć bezpośrednich prądów i nurtu myśli społeczeństwa — narodu”.

„Powrót na mapę Polski Komitet Narodowy w Paryżu 1914—1919” opublikowany został w Londynie, gdzie też otrzymał nagrodę za najlepszą polską książkę, wydaną na emigracji.

Wszystko wskazuje na to, że doczekamy się edycji krajowej tej interesującej pracy, która pochłonęła autorowi trzy lata.

# Obywatel hrabia Zamoyski

Ireneusz J. Kamiński

choć na wojnę 1939 roku ruszył z 3. dywizją piechoty. A w ogóle po raz pierwszy to na konia wsiadł w ósmym roku życia, we Francji, by pożegnać się z siodłem właśnie we Wrześniu polskim, w randze porucznika, który po rozwiązaniu oddziału osiadł w Zwierzynie, gdzie przetrwał okupację. Było to dobre, ale i trochę dziwne miejsce: w dzień patrolowali je Niemcy, nocami — partyzanci.

Cóż jednak za znaczenie ma dzisiaj profil szlachetny, albo inaczej: kiedy to ludzi oceniano się wedle stopnia harmonii fizjonomicznej? Wśród dawnej polskiej arystokracji zdarzały się zresztą mordy wręcz zakazane, przesycone tłuszczem, występkiem i okowitą.

### W więzieniu.

Zamoyski często przecież tytułowany bywa hrabią, choć wątpię, czy sprawia mu to jakąś satysfakcję. Jest to bowiem człowiek bezpośredni, otwarty, realnie myślący. Sądze nawet, że w pewnym okresie swego życia był bardzo zadowolony z ludzką pamięcią o własnym rojowodzie. Jeśli nawet mijam się z prawdą, jeśli ziemianka genealogia nigdy nie budziła rozterki w duszy syna hrabiego Maurycyego, to w końcu faktem pozostaje, że rodowy herb (Jelita) i ordynacka biografia stanowiły główny, aczkolwiek nieformalny powód umieszczenia go za kratami.

Aresztowany 5 lub 7 stycznia 1949 roku — sam już dokładnie nie pamięta owego dnia — po dwuletnim śledztwie doprowadzony został przed warszawski sąd wojskowy, który w pierwszym podejściu skazał Zamoyskiego na dożywocie. Apelacja zmniejszyła ten wyrok do lat 15, no i w rezultacie więzień zwiedził pierwszorzędną w swoim rodzaju przybytki „resocjalizacji” w Sztumie, Wronkach, Rawiczu, zawadzając też oczywiście o stołeczny przy ul. Rakowieckiej. Żeby nie pozostawić wątpliwości: to były ciężkie więzienia.

Jak do tego doszło? Pozbawiony wszelkich praw do ordynacji, która uległa reformie rolnej, reallizowanej od jesieni 1944 roku, Zamoyski szukał miejsca do życia, by znaleźć je na Wybrzeżu, gdzie otrzymał pracę w przedstawicielstwie UNRRA. Tam też, w Sopocie 1947 roku, urodził się jego syn, jak się miało okazać — jedyny męski potomek w rodzinie mieszkającym w Polsce.

Po roku Zamoyski otrzymał propozycję objęcia stanowiska zastępcy szefa agencji linii żegludowej USA w Polsce. Ofertę przyjął, wkrótce został sam na gospodarstwie, ponieważ jego przełożony wrócił do kraju.

Trzeba wiedzieć, że w tamtych powojennych czasach papierosy rodzimej produkcji były raczej kiepskie, choć nieco lepsze od dzisiejszych „popularnych” czy „klubowych”, a kto wie,

Więziony był lat osiem, do jesieni 1956 roku.

Wspomina o tym bez goryczy, w konwencji stenograficznej notacji.

Kiedy pytam, jakim cudem przetrzymał owe Wronki czy Sztumy, odpowiada krótko, że to sprawa psychiki, a nie fizyki. „Chłopy na pozór silne niczym byki załamywały się po dwóch miesiącach”.

Wkrótce po uwolnieniu ponownie stanął przed sądem wojskowym, który oczyścił Zamoyskiego ze wszystkich oskarżeń, śledztwo i proces sprzed lat uznając za manifestację kompletnej ignorancji i złej woli. Rozprawa rehabilitacyjna trwała raptem 20 minut.

Miał teraz prawo do odszkodowania, ale go nie otrzymał. Jego starania w tym względzie kwitowano urzędową informacją, że stosowne fundusze zostały już wyczerpane. Ale prawo Zamoyski miał, naturalnie. A także czworo dzieci na utrzymaniu.

Pech szczególnego pokroju przesładował go i później, kiedy podjął się pracy dziennikarskiej w czasopiśmie „Rynki Zagraniczne”, dokąd zresztą trafił tylko dzięki poparciu wpływowej osoby. Po trzech latach redakcję rozwiązano, odczekano dni dziesięć, a następnie powołano całkiem nowy zespół doceniający wreszcie znaczenie orientalistycznej ekonomii (ope).

Ostatecznie Zamoyski związał się ze wspomnianą już placówką „Swissair”, działającą dla wygody napowietrznych podróży. On sam zresztą sporo podróżował, oczywiście w latach młodości, a nawet w dzieciństwie.

### Od Klemensowa do Paryża

Pierwszą, wyjątkowo długą i pokrętną trasę pokonał pod opieką matki Marii z Sapiechów, która po wybuchu I wojny światowej, w obawie przed wojskami niemieckimi czy austriackimi, opuściła Klemensów wraz z kilkorgiem dzieci, udając się do Białej Cerkwi Branickich, gdzie mieszkała jej krewna, również Maria. Jan Zamoyski miał wtedy dwa lata i dwa miesiące.

Po prawie rocznym pobyciu u Branickich rodzina pojechała do Kijowa, gdzie bodaj dwukrotnie odwiedził ją pater familias, hrabia Maurycy, działający wtedy wraz z Romanem Dmowskim w Petersburgu. Ordynat należał do czołowych postaci Komitetu Narodowego Polskiego, z czasem został jego wiceprezesem w Paryżu.

Kolejne etapy tułaczki Marii Zamoyskiej i jej dzieci, z których najstarsze liczyło osiem lat, wyznaczały takie miasta, jak Moskwa i Petersburg, skąd po rewolucji lutowej 1917 roku grupa wyjechała do Finlandii. Dalsza trasa rodzinny wiodła przez Kopenhagę, Oslo, Abendin, Londyn, by zakończyć się w Paryżu, który powitano w kwietniu 1918 roku.

jąca wtedy 150 000 ha użytków rolnych i lasów, wydzielonych z terenów kilku powiatów zamojskiego, tomaszowskiego, kraśnickiego i kraśnostawskiego.

On posiadał ponadto opinię patrioty, zięczonego dyplomaty i mecenasa kultury. Był jednym z inicjatorów i faktorów warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, ponad 100 000 rubli wyłożył na zakup instrumentów i adaptację gmachu opery stołecznej, wyjednał wcześniej u Rosjan zezwolenie na jej ponowne otwarcie. Tę muzyczną sprawę doprowadził do szczęśliwego końca wspólnie z Władysławem Lubomirskim, Leopoldem Kronenbergiem i Emilem Młynarskim, ale wznowienie nauczania przez szkołę przy ul. Smolnej, zamkniętą decyzją władz carskich po roku 1905, to wyłącznie jego zasługa, dość zresztą kosztowna, bo akcentowana wykupieniem całego budynku. Dziś szkoła ta nosi imię Jana Zamoyskiego.

Był hrabia Maurycy wiceprzewodniczącym jury konkursu na pomnik Chopina w Warszawie.

Przed odzyskaniem niepodległości przez Polskę działał w różnych towarzystwach: cyklistów, lyżwiarzy i żeglarzy, które pod szyldem sportowym prowadziły tajną edukację patriotyczną. Tutaj także nie skąpił pieniędzy.

W pierwszych turach wyborów prezydenckich Zamoyski zdecydowanie wyprzedził pozostałych kandydatów. Oto wyniki drugiego głosowania w Sejmie: ordynat — 228 głosów, Wojciechowski — 152, Narutowicz — 151, Daszyński — 1. Kiedy już ak Wojciechowski odpadł z rywalizacji popierający go dotąd reslowie wspomogli Narutowicza, który mocą 280 głosów został prezydentem RP. Za Zamoyskim opowiedziało się 227 mandatariów.

Hrabia Maurycy pozostał w dyplomacji, krótko piastował urząd ministra spraw zagranicznych, wreszcie, u schyłku lat dwudziestych, wycofał się z życia politycznego.

Tymczasem zmniejszało się terytorium ordynacji, która na dodatek, za sprawą pewnego nieudolnego i nieuczciwego plenipotenty, popadła w fatalne długie podatki sięgające milionów złotych. Część majątku poszła wreszcie pod zarządek komisaryczny, co znacznie polepszyło sytuację ordynacji, która wszakże przy końcu lat trzydziestych obejmowała już tylko 61 000 ha.

Jan Zamoyski studiował wówczas w Wyższym Instytucie Ekonomii i Handlu we francuskim Nancy, absolutorium otrzymując jednak w warszawskiej Szkole Głównej Handlowej. W kraju zatrzymał go ojciec, dotknięty ciężką chorobą serca.

W 1937 roku Jan Zamoyski całkowicie przejął władanie: ordynacja, która znów weszła w okres prosperity, osiadł w Zwierzynie.

5 maja 1939 roku zmarł hrabia Maurycy. W asyście żałobnym w war-

# Czy mur berliński zbudowali Chińczycy?

Ziemowit J. Pietraś

**D**YPLOMACJĘ dość często określa się jako zastosowanie inteligencji i taktu do prowadzenia spraw międzynarodowych, z czego wynika, że jest to zawód nasycony „naturalną” inteligencją. Po co więc jeszcze inteligencja „sztuczna”? Można chyba odpowiedzieć, że w sprawach istnienia państwa i narodu, którymi zajmuje się polityka zagraniczna, inteligencji nigdy nie będzie nazbyt wiele.

Ponadto politykę zagraniczną rozpatrywać też można i od strony informatycznej. W tym sensie jest ona przecież procesem tworzenia, przekazywania, przetwarzania i gromadzenia informacji. Do tych wszystkich czynności można z powodzeniem stosować instrumenty elektronicznej techniki obliczeniowej.

## „Sztuczna inteligencja”

polega na projektowaniu i uruchamianiu systemów posługujących się twórczym przetwarzaniem informacji. Termin ten jest rozumiany na kilka sposobów. Na poziomie najniższym traktuje się „sztuczna inteligencja” jako zbiór nowych technik i „sztuczki” programistycznych, wywołujących wrażenie, że komputer myśli.

Cel bardziej ambitny stanowi przebudowywanie samej idei programowania w taki sposób, by sztywne algorytmy zastępować przez reguły twórczego (heurystycznego) myślenia. Zadaniem dalekosydnym jest stworzenie urządzeń rzeczywiście w znacznym zakresie imitujących procesy myślowe człowieka. W tym celu najpierw należy sięgnąć do samej istoty takich problemów, jak myślenie, rozumienie czy uczenie się. „Inteligentny” komputer powinien więc posładać swe własne zmysły wzroku i słuchu, a także umiejętności myślenia oraz mówienia.

Uplynie jeszcze wiele lat, zanim takie projekty staną się rzeczywistością. Niemniej jest faktem, że wielu najwybitniejszych uczonych naszego stulecia intensywnie pracuje nad wykonaniem tego dzieła, a niektóre z zakładanych celów już osiągnięto, przynajmniej częściowo. Zastępowanie pracy umysłowej przez maszyny w każdym razie już teraz stało się faktem, który powoduje, że wielu myślicieli głosi powstawanie „na naszych oczach” nowych społeczeństw informacyjnych. Akceptując takie prognozy, organizacje wyspecjalizowane ONZ, prowadzące analizy stanu świa-

ta, doszły do wniosku, że jednym z najważniejszych problemów współczesności jest „analfabetyzm komputerowy”. Według ILO, pracownicy dzielą się na dwie zasadnicze grupy: ludzi zdolnych do wykorzystywania komputerów w swojej pracy oraz komputerowych „analfabetów”.

Czy współczesne komputery „myślą”? Spór na ten temat jest dość ożywiony. Kontynuatorzy tradycji humanistycznych kategorycznie utrzymują, że to niemożliwe. Myślenie jest zastrzeżonym przywilejem człowieka. Pragmatyczni zwolennicy „sztucznej inteligencji” na ogół nie przejmują się tym problemem. Komputery imitują myślenie w taki sposób, że ludzie odnoszą wrażenie, iż mogą one „wiedzieć”, „rozumieć” czy „myśleć”. Jest faktem, że za takie funkcje i płynące z nich różnorodne pożytki ludzie chcą płacić, kupując towary nasycone „sztuczna inteligencją”. W 1983 r. tylko w Stanach Zjednoczonych sprzedano takie produkty za 250 milionów dolarów, a w 1990 r. na rynku „sztucznej inteligencji” obroty mają wynieść około 12 miliardów dolarów.

Jakie znaczenie może mieć „sztuczna inteligencja” dla potrzeb koncep-

tualizacji i realizacji polityki zagranicznej państwa?

## Czytanie dokumentów

polega na rozpoznawaniu członków różnych typów, dokonywaniu selekcji informacji, przygotowywaniu streszczeń, wiązaniu odczytanych treści z informacjami zawartymi w bazach danych, formułowaniu wniosków i zaleceń oraz kierowaniu ich na biurka osób kompetentnych do podejmowania decyzji. Taka jest chyba najbliższa przyszłość „sztucznej inteligencji” w służbie zagranicznej. Na te cele przeznaczają się znaczne środki, ponieważ MSZ-ty są wręcz zalewane ogromnymi ilościami informacji, z których większość to typowe „szumy”. Cele dalsze, ale już realizowane, to komputerowe wspomaganie przygotowywania tekstów, na przykład not dyplomatycznych, a także automatyczne tłumaczenie tekstów. Takie programy przeznaczone dla turystów znajdują się już w sprzedaży.

## Rozumienie języka mówionego

i wydawanie przez maszyny dźwięków zrozumiałych dla człowieka to cel następny. Przepuszczalnie będzie to ukoronowanie powstających systemów ekspertyzowych. Mówiący komputer z pewnością nie będzie budził takiego przestrachu humanistycznych dyplomatów, jak obecne maszyny, z którymi można porozumiewać się jedynie za pomocą bardzo tajemniczych komend. Sprzedawane w okresie świątecznym 1987 r. w USA „Intelligent” lalki są w stanie rozmawiać z trzyletnimi dziećmi, które jednak traktują je jak żywe koleżanki. Może istnieje więc niebezpieczeństwo uruchamiania bardziej zawiłych proces-

**N**AJWIĘKSZY sukcesem inżynierii genetycznej jest opanowanie na skalę przemysłową produkcji wielu cennych związków, dotychczas nieosiągalnych. Chodzi tu przede wszystkim o związki białkowe stosowane w medycynie, a między innymi — o hormony.

W leczeniu stosuje się obecnie kilkadziesiąt hormonów peptydowych, takich jak insulina, ACTH (hormon adrenokortykotropowy), somatropina, hormon wzrostu i wiele innych, dzięki którym leczy się choroby uważane dotąd za nieuleczalne. Do niedawna istniały dwa sposoby pozyskiwania takich związków: produkowano je z odpowiednich tkanek zwierzęcych bądź ludzkich oraz przez syntezę chemiczną. Tak w jednym, jak i w drugim przypadku napotymano na istotne bariery i trudności techniczne, nie mówiąc już o ogromnych kosztach. W przypadku hormonów wytwarzanych z tkanek zwierzęcych i ludzkich najważniejszym ograniczeniem był brak odpowiedniej ilości materiału stanowiącego źródło hormonu, szczególnie gdy materiał taki stanowiło łożysko czy przysadka ludzka. Zaś synteza chemiczna jest niezwykle kosztowna wskutek znacznej energochłonności. Z reguły uboczny produkt w takim przypadku to ogromna ilość odpadów, zaturawiających środowisko.

O znaczeniu niektórych preparatów, jak na przykład insuliny, świadczy najlepiej fakt, że liczba chorych na cukrzycę wynosi, wedle informacji podawanych przez Światową Organizację Zdrowia, 0,5 procenta całej ludności świata. Daje to ogromną liczbę 25—30 milionów osób, z których wiele musi otrzymywać dawki insuliny codziennie.

Od kilkadziesiąt lat otrzymywano insulinę z trzustek zwierzęcych. Była ona kosztownym lekiem, niedostępnym dla ludzi uboższych, a w wielu krajach trudno osiągalnym. Toteż wytworzenie organizmów produkujących insulinę miało znaczenie nie tylko ekonomiczne, ale humanitarne. Należało przy tym wytworzyć bakterie, która sama się reprodukuje, gdyż tylko w ten sposób można było myśleć o masowym, przemysłowym otrzymywaniu tego hormonu. W roku 1982 taką insulinę otrzymano. Podkreśla się zarazem, że jest ona lepsza od produkowanej dotychczas z materiału zwierzęcego, ponieważ jest prawie identyczna z hormonem wytwarzanym przez człowieka. Dzięki temu poprawiono efekty leczenia i samopoczucie tych chorych, którzy są uczuleni na insulinę pochodzącą z trzustek zwierzęcych.

Wiele ciekawych informacji na temat praktycznego zastosowania inżynierii genetycznej znaleźć można w książce „Inżynieria genetyczna”, napisanej przez dwóch wybitnych uczonych polskich: Wacława Gajewskiego i Piotra Węgleńskiego. Tam też odsyłam zainteresowanych, którzy zechcą poszerzyć na ten temat swoją wiedzę. Zatrzymajmy się jeszcze przy tym temacie, ponieważ wielu chorych nie udało się jeszcze opanować, a wszystko wskazuje, że ostatnie słowo należeć będzie w tej mierze do genetyków.

„Oprócz insuliny — piszą Gajewski i Węgleński — na większą skalę wytwarza się obecnie ze specjalnie skonstruowanych szczepów bakteryjnych ludzki hormon wzrostu. Sądzić należy, że w niedługim czasie zostaną skonstruowane szcze-

py (bakterii — przyp. A.P.) wytwarzające inne hormony, a także białka otrzymywane dotychczas z ludzkiej krwi (np. albumina lub tzw. czynnik VIII)”.  
Trwają również prace nad uzyskaniem szczepionek przeciwko wielu chorobom zakaźnym, powodowanym przez wirusy. Wirusy — to najbardziej mikroskopijni i przebiegli wrogowie roślin, zwierząt i ludzi. Mają też niezwykle prostą budowę. Jest to cząsteczka białka, będąca wiązką genów zawierających instrukcję, w jaki sposób ma się powieścić. Ale w odróżnieniu od bakterii wirus nie może zrobić tego samodzielnie, toteż trudno powiedzieć z całą pewnością, że jest żywą istotą. Wirus reprodukuje się dopiero wówczas, gdy wnika do żywej komórki. Posiadając kod genetyczny — jak pamiętamy — identyczny jak u człowieka, zmusza komórkę do realizowania własnych

instrukcji. Dotychczasowy kod genetyczny komórki ulega destrukcji i komórka, miast „pracować” dla organizmu — staje się fabryką produkującą wirusy. W końcu rozrywają ją one na strzępy i atakują następne.  
Ale otrzymać szczepionkę przeciwko wirusowi nie jest łatwo. Wprawdzie opanowano z grubsza technikę klonowania (rozmnażania) genów, czyli fragmentów DNA, istnieje jednak wiele takich wirusów, których nie udaje się namnażać w laboratoriach. W związku z tym uzyskanie dużych ilości antygenów wirusowych, potrzebnych do wyprodukowania szczepionki, jest albo niemożliwe, albo bardzo trudne. Takim wirusem był do niedawna HBV, który wywołuje żółtaczkę, lub mówiąc fachowo — zapalenie wątroby. Dopiero w roku 1980 udało się otrzymać antygeny tego wirusa. Wyprodukowaną na ich bazie szczepionkę zaczęto testować w roku 1983 i być może bliski jest dzień, kiedy żółtaczkę zakaźną przestanie być zmorem.

Inżynieria genetyczna znajduje również zażartych zwolenników w sferach gospodarczych. Dość wspomnieć, że usiłuje się obecnie skonstruować mikroorganizmy, które można by zastosować przy oczyszczaniu ścieków (a nawet w ogóle niszczeniu śmieci i odpadów przemysłowych), uzyskiwaniu metali i niskoprocentowych rud i upłynianiu ropy naftowej z mało wydajnych złóż bitumicznych.  
Wiele pożytecznego zapowiadają również dotychczasowe doświadczenia z zastosowaniem inżynierii genetycznej w hodowli roślin i zwierząt. Po za jednym bodaj lukinem, rośliny nie są zdolne do korzystania z azotu znajdującego się w powietrzu, toteż rolnictwo musi posługiwać się ogromną ilością nawozów azotowych, ponieważ — aby uzyskać wysokie plony — należy związki azotowe wprowadzić do gleby. Szacuje się, że na świecie produkuje się ich dzisiaj około 50 milionów ton rocznie. Jest to zawrotna liczba. Zważywszy przy tym należy, że tylko niewielką część tej masy wykorzystują rośliny. Poważną część nawozów wypłukiwana jest przez deszcze, trafiając do rzek i je-

zior. Ekolodzy uważają, że właśnie zanieczyszczenie związkami azotowymi i fosforowymi, używanymi do produkcji nawozów, jest jedną z przyczyn degradacji wód powierzchniowych w Polsce. Np. Wielkie Jeziora Mazurskie, do niedawna ozdoba naszego kraju, są poważnie zagrożone całkowitą śmiercią biologiczną.

Istnieje natomiast wiele bakterii „żywiących” się azotem atmosferycznym. Droga rekombinacji genetycznej dąży się zatem do zmodyfikowania kodu genetycznego roślin tak, aby i one posiadały tę umiejętność. Choć uzyskano już w tej mierze pewne cząstkowe sukcesy, droga do pełnego sukcesu jest jeszcze daleka. W każdym razie uważa się, że wyhodowanie rośliny żywiącej się azotem z powietrza jest możliwe, nie nastąpi to jednak w najbliższym czasie. Bardziej natomiast zaawansowane są prace nad genetycznym uodpornieniem

# Wyzwanie naturze (2)

Andrzej W. Pawluczuk

roślin uprawnych na niektóre choroby wirusowe. Gajewski i Węgleński uważają, że „praktyczne efekty prac tego typu zaczną być widoczne już w latach dwudziestych”.

Operacje genetyczne na zwierzętach są o wiele bardziej skomplikowane, ponieważ organizm zwierzęcia jest bardziej zróżnicowany genetycznie niż roślina, a co za tym idzie — wiele genów u zwierząt uruchamia swoje funkcje jedynie w ściśle określonych, wyspecjalizowanych typach komórek (to samo dotyczy także człowieka). Prowadzi się dwojakiego rodzaju badania i doświadczenia: na pojedynczych komórkach zwierzęcych hodowanych in vitro oraz zarodkach również hodowanych in vitro. Te pierwsze służą przede wszystkim poznaniu mechanizmów regulujących działanie genów. Drugie — wiedzą prostą drogą do opanowania klonowania ssaków oraz tworzenia wszelkich możliwych krzyżówek międzygatunkowych. O ile więc możliwe jest dzisiaj odtworzenie całej rośliny i jednej komórki, a tak właśnie potocznie pojmują się klonowanie, to w odniesieniu do zwierząt operacja taka jest na razie niemożliwa i, jak przypuszczają uczeni, niemożliwa będzie w dającej się przewidzieć przyszłości. Zabiegi takie muszą być dokonywane na zarodkach.

O klonowaniu żaby wspominałem poprzednio. Teraz chciałbym się zatrzymać nad „anym udanym eksperymentem genetycznym, który otwiera przed nauką niebywałe, a także straszliwe możliwości, jeżeli zważyć, że dotyczył on ssaków, a więc zwierząt najwyższej zorganizowanych biologicznie.”

Chodzi o udane wyniki manipulacji genetycznych, jakich dokonał na myszach zespół uczonych amerykańskich pod kierunkiem R. D. Palmitera w roku 1982. By nie zaciemniać obrazu nadmierną ilością szczegółów i fachowej terminologii, opowiem w wielkim skrócie. Zależy mi bowiem na tym, aby cała rzecz była jasna i zrozumiała tak, jak dla tych czytelników, którzy z zainteresowaniem śledzą rozwój inżynierii genetycznej i stąd następujący ekspery-

sów psychicznych? Czy niektórzy humaniści nie zareagują na takie maszynowe jaskracze większym strachem?

Komputery obdarzone wzrokiem, słuchem i mową z pewnością będą odbierane jako nowy etap techniki elektronicznego przetwarzania danych. Trzydzieści lat temu wydawało się to bardzo proste. Kamera telewizyjna, mikrofon i elektroniczny syntetyzator dźwięków istniały, ale dopiero niedawno stworzono programy pozwalające komputerowi „rozumieć” to, co widzi lub słyszy.

### Wspomaganie procesów decyzyjnych

Za samą istotę „sztucznej inteligencji” uważa się systemy eksportyzowe ułatwiające podejmowanie decyzji przez człowieka. Ich wartość polega na ogół na wykorzystaniu przez komputery wiedzy najwybitniejszych znawców przedmiotu. W odróżnieniu od programów tradycyjnych wykorzystuje się tu nie tylko bazy danych, ale także i wiedzę heurystyczną specjalistów, w oparciu o którą maszyna kojarzy różne zasady „myślenia” i dane wyjściowe i prezentuje swoją opinię, której nie zawarto w sformułowanym wcześniej programie. Na ogół komputer skutecznie zapamiętuje toki przetwarzania danych, a więc „uczy się”.

Przebojem „sztucznej inteligencji” stał się program AM, odkrywający po uruchomieniu zasady podstawowych działań matematycznych, a następnie wyprowadzający i udowadniający wiele twierdzeń matematycznych. Podobne systemy wnioskuje o prawach fizycznych, programują eksperymenty dla potrzeb inżynierii genetycznej, diagnozują choroby i sugerują meto-

dy ich leczenia, doradzają adwokatom lub mechanikom naprawiającym lokomotywy. Praktyczna wartość tych programów jest ogromna i to zupełnie niezależnie od tego, czy komputer naprawdę myśli, czy nie. Dla użytkownika, na przykład młodego lekarza, istotna jest możliwość skonsultowania się z kilkunastoma wybitnymi specjalistami, których wiedza zawarta jest w komputerze.

Dla potrzeb polityki zagranicznej zaproponowano przygotowywanie systemów wczesnego ostrzegania o kryzysach międzynarodowych i wewnętrznych w różnych państwach. Systemy takie obserwowałyby wiele baz danych w celu określenia stanu spraw i na podstawie zaprogramowanych definicji kryzysu oraz prognoz tworzonych przez maszynę automatycznie sygnalizowałyby powstające niebezpieczeństwa.

Podjęmowane są także próby wykorzystania „sztucznej inteligencji” do analizy scenariuszy ról poszczególnych państw oraz do dezagregacji celów polityki zagranicznej i doboru środków i metod jej realizacji.

### Maszyny empatyczne

mogą służyć do prognozowania przyszłych zachowań obcych państw. Ich istotą jest symulowanie procesów przetwarzania danych przez konkretne polityki. Systemy tworzone na Zachodzie mają doprowadzić do symulowania procesów decyzyjnych w ZSRR czy w Polsce.

Pierwszą taką próbą był program symulujący zachowania „złomowojennego ideologa”, który posługiwał się prymitywnymi stereotypami sytuacji międzynarodowej. Kojarząc różne dane i zasady heurystyczne,

program wykazał też swoją niedośkonalszość, twierdząc, że mur berliński zbudowali... Chińczycy. Jednak ta słabość była też i siłą programu — tylko komputer mógł wpaść na tak irracjonalną interpretację. Celem takich eksperymentów nie jest jednak natychmiastowe zbudowanie doskonałej maszyny. Komputery stwarzają możliwość interakcji i tym samym stałego doskonalenia programów. Na przykład powyższy błąd programu można łatwo usunąć, wprowadzając zasadę heurystyczną, mówiącą, że działania międzynarodowe na danym terytorium może prowadzić jedynie państwo, którego siły są tam fizycznie obecne.

Inne istniejące programy symulują procesy podejmowania decyzji przez W. Rostowa, doradcę prezydenta w czasie wojny w Wietnamie, czy procesy decydowania przez J. F. Kennedy'ego w czasie kryzysu kubańskiego w 1962 r.

### Inteligentne uzbrojenie

jest ważnym składnikiem militarnego potencjału państwa, a więc może mieć istotny wpływ na jego politykę zagraniczną. Amerykański program „wojen gwiazdnych” (SDI) w całości został oparty na przyszłych osiągnięciach „sztucznej inteligencji”, co zresztą wydatnie zwiększa dopływ funduszy na te cele. Bardzo ostrą walkę konkurencyjną między Japonią, USA i Europą Zachodnią, toczącą się wokół budowy komputerów „piątej generacji”, jest w istocie startem o to, na jakich komputerach uruchamiane będą programy „sztucznej inteligencji” i które z tych państw osiągnie niewyobrażalnie wielkie zyski.

Ponadto realizowane są programy robotyzacji sił zbrojnych, które to

programy w Stanach Zjednoczonych finansuje Pentagon przez agencję DARPA w ramach Strategicznej Inicjatywy Komputerowej (SCI). Trwają prace nad budową „inteligentnego” czołgu bezzałogowego dla sił lądowych, „inteligentnego kolegi” pilota dla sił powietrznych oraz „sztucznego admirała” dla sił morskich. Pow szechnie uważa się, że właśnie w robotach zbiegają się wszystkie podstawowe wątki programów „sztucznej inteligencji”, ponieważ ich funkcją jest odbieranie światła zewnętrznego, rozumienie, co się w nim dzieje, przetwarzanie bodźców, podejmowanie samodzielnych decyzji i ich wykonywanie.

Na razie programy robotyzacji znajdują się w fazie załączkowej — czołgi wpadają do rowów i strzelają do siebie nawzajem, „koleśny pilot” potrafią wprowadzić tak manewrować samolotem, że rakietą nie może go dogonić, ale pilot prawdziwy w tym czasie pewnie by umarł itd. Zza optymistycznych wizji „sztucznej inteligencji” wylizera też ponury obraz wojny robotów.

### Spoleczeństwo informacyjne

pewnie nie będzie wolne od problemów istniejących obecnie. Na pewno jednak w przyszłości niezbędna stanie się polityka zagraniczna „trzeciej generacji”, po polityce dynastycznej i państwowo-centricznej. Jej treścią merytoryczną powinno stać się nowe myślenie w kategoriach wspólnych interesów ludzkości, przede wszystkim wiążących się z jej przetrwaniem. Od strony formalnej można prognozować nasytanie polityki zagranicznej elementami „sztucznej inteligencji”, których kilka omówiliśmy.

ment. Do zarodka myszy, hodowanego in vitro, wprowadził drogą bardzo skomplikowanych zabiegów rozklonowany uprzednio gen hormonu wzrostu szczura, który jest zwierzęciem kilkakrotnie większym. Aby uzyskać bardziej miarodajne wyniki i materiał do porównań, operację taką wykonano na kilkudziesięciu embrionach, z tym, że do każdego z zarodków wszczepiono inną ilość genów. Zarodki te hodowano jeszcze jakiś czas w probówkach, następnie wprowadzono do macie zastępczych matek. Z tak przekształconych embrionów urodziło się w efekcie 21 myszek.

Co się okazało? Opisując swój efektowny eksperyment w czasopiśmie „Nature” z grudnia 1982 roku, Palmiter podaje, że w 47 dniu nowe myszy były wyraźnie większe i ważyły znacznie więcej niż myszy kontrolne (od prawie dwóch do 1,69 raza). Ponadto myszy, których zarodki zaszczerpiono większą ilością szczurzego genu, rosły szybciej, ale i krócej żyły od myszy, które posiadały mniejszą ilość tego samego genu. To pionierskie doświadczenie wywołało niebywałą sensację nie tylko w świecie nauki. Zaczęto snuć przypuszczenia, że w ten sam sposób można wyprodukować rasę gigantycznych świń i bydła, co w wielu krajach zlikwidowałoby dotkliwie odczuwany niedobór białka.

Eksperyment ten dowiódł przede wszystkim rzeczy najważniejszej, a zarazem przerażającej: skoro można dokonywać udanych manipulacji genetycznych na zwierzętach, wcześniej czy później te same eksperymenty zostaną powtórzone na człowieku. Wielu uczonych wyraża opinię, że jest to już tylko kwestia czasu, i to raczej niedługiego. Bariera techniczna została pokonana. Chodzi tylko o to, kto pierwszy odważy się na prowadzenie tego rodzaju doświadczeń. Niektórzy sądzą nawet, że manipulacje takie przeprowadza się już w wielu laboratoriach i tylko obawa przed opinią publiczną wstrzymuje ich autorów przed ogłoszeniem wyników.

Dopiero ten skrótowy i bardzo pobieżny zarys osiągnięć genetyki inżynierskiej uświadamia, jak wielkie możliwości otwierają się przed człowiekiem. Z jednej strony — można spoglądać w przyszłość z nadzieją, że już w niedalokiej przyszłości (jest to sprawa dwóch, trzech pokoleń) świat uwolni się od wielu plag: chorób, głodu, brudu, niezliczonych przyrodę odpadów przemysłowych. Zaprzęgnięciem mikroorganizmów przy pozyskiwaniu surowców oddali zaś widmo wyczerpania się źródeł energii. Zapewne będzie to miało także wpływ na generalną zmianę globalnej sytuacji politycznej. Z mapy świata znikną tak zwane punkty strategiczne — ołszary nadzwyczaj bogate w naftę, uran czy inne minerały, uznawane dzisiaj za niezbędne do prawidłowego funkcjonowania nowoczesnego organizmu państwowego. Można zatem przypuszczać, że wydatnie zmaleje liczba wojen, ponieważ przestanie mieć praktyczne znaczenie jedna z podstawowych przyczyn konfliktów: walka o surowce i żyźne ziemie.

Z drugiej jednak strony — liczba potencjalnych zagrożeń gatunku ludzkiego wzbogaci się o nowe, trudne dzisiaj do sprycyzowania niebezpieczeństwa. Ale niektóre z nich możemy już sobie wyobrazić, ponieważ to, co zrobiono do tej pory, daje podstawę do miarodajnych i realistycznych przewidywań. Po pierwsze, sztandarowymi poczynaniami inżynierii genetycznej w najbliższym czasie będą

bez wątpienia doświadczenia na ssakach oraz manipulacje genetyczne związane z opanowaniem nieuleczalnych dotąd chorób, a zwłaszcza raka. Zatrzymajmy się przy tym problemie.

Lekarze twierdzą, że liczba chorób dziedzicznych, trapiących ludzkość, wynosi około dwóch tysięcy. Ich przyczyną jest nieprawidłowe działanie genów lub inaczej — mutacja tych genów, które kierują odpowiednim kodowaniem (mówiąc w uproszczeniu: przyswojeniem) różnych białek istotnych dla metabolizmu i normalnego funkcjonowania organizmu. Inaczej mówiąc — zmieniony, czyli zmutowany gen nakazuje komórce wykonywanie innych czynności niż te, które zapewniają prawidłowe działanie danego narządu ciała bądź całego organizmu. Kod genetyczny znajdujący się w komórkach został zmieniony, a fizyczną oznaką takiego stanu rzeczy jest właśnie choroba. Aby usunąć jej przyczynę, należałoby zatem ów kod „naprawić”, czyli usunąć zmutowany gen czy sekwencję genów, a w ich miejsce wszczepić gen, który działa prawidłowo. W warunkach laboratoryjnych można przeprowadzić taką korektę w kilku czy kilkudziesięciu komórkach hodowanych in vitro. Tymczasem w przypadku choroby rozklonowanej są wszystkie komórki organizmu, toteż dokonanie skutecznej korekty genetycznej, niweczącej przyczynę choroby, jest przy dzisiejszym stanie nauki niewykonalne. Przyczyny skazy genetycznej leczy się na razie prostszymi sposobami. Jeżeli uda się ustalić, jakiej substancji nie wytwarza organizm z powodu mutacji genów, substancję tę dostarcza się organizmowi jako lek. Nie zmienia to jednak w niczym genetycznego funkcjonowania komórek, człowiek jest w dalszym ciągu chory. Usuwa się w tym przypadku jedynie skutek wadliwie działającego genu, on sam — zostaje nie zmieniony. Przykładem takiej terapii jest leczenie cukrzycy przez systematyczne dostarczanie chorzyemu insuliny, nie produkowanej przez ich organizm.

Istnieje, jak dotąd, tylko jeden sposób przeprowadzenia korekty genów w całym organizmie. Jest to opisana przez Palmitera metoda wyhodowania gigantycznej myszy, polegająca na ingerencji genetycznej w zarodku. Nie ma podstaw, by sądzić, że tą metodą można regulować jedynie wzrost organizmu. Przeciwnie: sądzi się, że Palmiter i jego zespół otworzyli przed inżynierią genetyczną nowe możliwości. Reszta — pozostaje już kwestią wyłącznie techniczną: jak znaleźć odpowiedni gen i w jaki sposób wymienić go na inny. To, co wydawało się do niedawna bajką lub fantazją pisarza, przybliży się do nas coraz szybciej. Regulowanie koloru włosów, oczu czy wzrostu potomstwa wydaje się być teoretycznie możliwe, choć sądzić należy, iż nie w tym kierunku pójdą poszukiwania uczonych. Nauka skupi się najprawdopodobniej na rzeczy w tej chwili najważniejszej: wyszukiwaniu w zarodkach tych genów, które decydują o chorobowym obciążeniu dziedzicznym i wszczepianiu genów funkcjonujących prawidłowo.

Odpowiedź na pytanie, czy jest to możliwe w przewidywanej przyszłości, należy pozostawić genetykom. Logika rozwoju nauki oraz dotychczasowe osiągnięcia inżynierii genetycznej i komórkowej każą jednak dać odpowiedź twierdzącą. Jest to teoretycznie możliwe w jakiejś — trudnej do ustalenia — przyszłości. A skoro tak, nauka

pójdzie bez wątpienia w tym kierunku, a kto wie, czy ładania i doświadczenia w tej materii nie są robione już dzisiaj.

Widzimy teraz, w jaki sposób zapłodnienie in vitro, które jest bez wątpienia wielkim dobrodziejstwem dla bezdzietnych rodzin, wiąże się z poważnymi problemami etycznymi i zagrożeniami dla biologicznego i osobowego jestestwa człowieka. Kilkudniowe, a może kilkutygodniowe zarodki ludzkie poddawane będą doświadczeniom i bezwzględnie skazywane na śmierć. Laboratoria staną przed problemem zbyt małej ilości — brzmiało to okrutnie — „materiału” ludzkiego. Być może — co również nie trudno przewidzieć — do doświadczeń używane będą płody kilkumiesięczne, a więc już bez wątpienia ludzie, choć jeszcze nie narodzeni.

Ale czy rzeczywiście dopiero płód kilkumiesięczny jest człowiekiem? Czy takiego miana odmówimy płodowi ośmiotygodniowemu? Dwutygodniowemu? Wreszcie maleńkiej, niewidocznej gołym okiem drobinie, która żyje zaledwie od kilku dni czy godzin? Gdzie jest ta granica, która pozwala nam bezwzględnie segregować życie na już ludzkie i jeszcze nie ludzkie? Kto nam pozwala decydować o życiu człowieka, choćby to życie się zaczynało i w niczym nie przypominało nas — urodzonych? I czy rzeczywiście możemy z całą pewnością powiedzieć, że kilkunastodniowy zarodek w niczym nie jest do nas podobny?

Nieszczęście polega na tym, że jest to zagadnienie moralne, a więc nie da się go rozwiązać za pomocą logiki i argumentów naukowych. Nauka Kościoła, która głosi świętość i nienaruszalność życia ludzkiego od chwili poczęcia, jest w większości przypadków odrzucana bądź lekceważona. Osoby niewierzące i wyznawcy dalekich nam kulturowo wyznań przypominają przy tej okazji dawne błędy Kościoła. Argumentują więc, że i tym razem nie można się opierać na jego wskazaniach, gdyż są one wywiedzione z dogmatów wiary, a nie prawd nauki. Kobiety decydujące się na usunięcie ciąży zastanawiają się nad czym innym: nie chcą dziecka, ponieważ skomplikuje to im życie; nie mają gdzie mieszkać, zostały porzucone czy wreszcie potomstwo będzie zawadą w karierze lub opóźni dorobienie się samochodu. Są to wszystkie względy praktyczne i życiowe, trudno zresztą wymagać, aby siedemnastoletnia dziewczyna albo dwudziestopięcioletnia panna po studiach, mieszcząc kąpiel w obcych i ledwo wiążąca kołnierz z końcem, myślała inaczej. Pod ciśnieniem bezwzględności życia upadają wszelkie (lub większość) hamulce moralne. Człowiek zawsze wolął łatwiej niż trudniej, prościej niż drogą wyrzeczeń i jak dotąd, żadnej religii na świecie nie udało się zmienić ludzkiej natury. W bardzo katolickiej Polsce i równie katolickich Włoszech liczba sztucznych poronień wynosi rocznie kilkaset tysięcy. I Kościół jest w tej mierze zupełnie bezradny.

(dokończenie nastąpi)

(Fragment książki, która ukaże się nakładem KAW w Białymstoku)

**Z**OSZCZENKO mieszkał w Leningradzie, rzadko bywał w Domu Pisarzy, to znaczy zachodził, ale jakoś ukradkiem, unikając ludzi; witali się z nim z zastrzeżoną miną i mijali go szybko, jakby czuli się winni. Niektórzy unikali go na wszelki wypadek. Każdy miał swoje obawy, ja też czułem się nie w porządku. Potem, kiedy poznaliśmy się, on z właściwą mu delikatnością starał się uwolnić mnie od tego. Ale uczucie to mimo wszystko pozostało do dziś wśród innych grzechów i wyrzutów, które nagromadziły się w ciągu lat naszego skomplikowanego życia.

Organizując wieczór jubileuszowy, poświęcony Zoszczenko, poszukiwałem stenogramu jego wystąpienia na zebraniu Leningradzkiego Oddziału Związku Literatów w 1954 r. Po pewnym czasie otrzymałem ów stenogram, do którego dołączono kartkę: „Wybaczenie, że zapis miejscami jest tylko przybliżony, ale wtedy bardzo denerwowałam się i ży mi przeskadzały”. Podpisu nie było.

Był czerwiec 1954 roku. Niewiele ponad rok temu zmarł Stalin, ale terminologia pozostawała ta sama, monumenty Wodza stały niewzruszenie, w łagrach siedziało wiele tysięcy wyłączonych z życia. Wszystko wypowiedziane przez Koryfeusza porostawało święte. Spoczywał w Mauzoleum obok Lenina na wieki wieków. Tylko historia gotowała się do skoku. Coś oczywiście zruszyło się, sprężyło; ocieplilo się, gdzieś potajemnie zasemrało, pojawiły się odtajniające miejsca. Nie wiadomo jak, ledwie co opublikowano „Odwil” Erenburga, a od razu rzuciły się na nią straże wiecznej zmarzliny.

Wielka sala Związku Literatów była przepelniona: szykowała się krytyka Zoszczenki za jego oświadczenie na spotkaniu z angielskimi studentami. Referował W. Druzin, redaktor naczelny czasopisma „Zwieszda”, już wówczas wyprutego ze wszystkiego, wymytego, stojącego w szeregu wzorowych gazet po osławionej uchwale o czasopiśmie „Zwieszda” i „Leningrad” z 1946 r.

Pamiętam, jak czytałem tę uchwałę w gazecie na ulicznej tablicy na Litiejnym: „pozbawiony zasad, bezczelny chuligan” — to o Zoszczenko, i jeszcze mocniej, a o Achmatowej prawie nieczuwalnie... jakby w ostatniej minucie zamienili na „rozpuścnicę”. Obwiniano i Olgę Bergholc, i Władimira Orłowa, i Jurija Germana za to, że sztucznie rozdmuchiwali autorytet Zoszczenki i Achmatowej, propagowali ich pisaninę.

1954 był rokiem oczekiwania. I nagle nowa kampania przeciw Zoszczenko. W maju na spotkaniu z angielskimi studentami zapytano Achmatową i Zoszczenkę o ich stosunek do krytyki w referacie Zdanowa. Na to Zoszczenko odrzekł, że z krytyką zawartą w referacie nie zgadza się.

Na czwarcym zebraniu Związku Literatów po Druzinie występowali mało znani mi pisarze i osądzali Zoszczenkę. Mówili o nim: „wspólnik naszych wrogów”, „na podobieństwo burżuazyjnych pisarzy”, „służalcze postępowanie”, „utracił godność człowieka radzieckiego”. Wiedziałem, że Zoszczenko siedzi na sali. Gdzieś tam, w pierwszych rzędach. Nie mogłem zrozumieć, jak można coś takiego w oczy, przy ludziach mówić człowiekowi. Gdyby jeszcze w uniesieniu, a oni mówili to spokojnie, na trzeźwo, z jakimś chłodnym okrucieństwem.

Zebranie prowadził pierwszy sekretarz leningradzkiej organizacji pisarzy, W. A. Koczetow. Narodził się z K. Simonowem i zaproponował: „Ponieważ sprawa jest jasna, pozostało wysłuchać towarzysza Zoszczenkę”.

Pierwszy raz widziałem wtedy Zoszczenkę. Nie dużego wzrostu, w ciemnym garniturze, brązowej koszuli z czarnym krawatem, bardzo akuratywny i czujny. Jego szczerą twarz przyciągała jakąś staromodną męską urodą. Delikatność i nieugiętość, boleść i skrytość łączyły się w jego wyglądzie. Nie wiem, jaki był przedtem, przed tymi wydarzeniami, przed wojną i jeszcze wcześniej, w latach „Bractwa Serapiona”, czy była w nim zawsze ta chłodna czujność?

Stalo się oczywiście, że co by powiedział, wszystko będzie nie tak: „jeszcze raz skrucha”, „zmużony przyznać”, „zdemaskowana dwulicowość”, tak bezwzględnie określał Zoszczenkę.

Zoszczenko: „Ja nie potrafie oficjalnie przemawiać. I po co wam moje formalne przyznanie się do błędów?”

A właśnie tego wymagano od niego. Niczego więcej. Po to przyjechał „sam Simonow” i Pierwienew. Niechby formalnie, ale sprawę należało zamknąć. Niechby nawet uznali jego przyznanie się za niedostateczne, nieważne: „odpowiednie środki zastosowano” — można zameldować.

Zoszczenko: „Będę mówić tak jak myślę, tylko wtedy można w pełni zrozumieć, co reprezentuje sobą człowiek”.

To, że denerwował się, było w porządku, to mogło spodobać się zebraniu, ale jego otwartość i szczerość, to budziło zaniepokojenie, mogło zaprowadzić za daleko. Mówić to, co myśli — tego nigdy nie żądano, trzeba mówić to, co należy.

Zoszczenko: „Zacznę od ostatnich wydarzeń. W gazecie napisano, że ukryłem swój prawdziwy stosunek do uchwały Komitetu Centralnego i nie wycofaję żadnych wniosków z wytycznych partii. Nie kryłem swej postawy. W 1946 r. napisałem do towarzysza Stalina, że nie mogę zgodzić się z kry-

tyką wszystkich moich utworów, nie wyrażam się tak...”

Teraz on czytał spokojnie, bezbarwnym głosem, bez żadnego wyrazu. Włosy miał uczesane z nie-nagannym przedziałkiem. Jego godność i chłód można było poczytać za pychę i wyniosłość.

Zoszczenko: „W moim podaniu z prośbą o pewne przyjęcie do związku napisałem, że w wielu rzeczach myliłem się, popełniałem niezręczności, ale nie zgadzam się z tym, że nie jestem pisarzem radzieckim i nigdy nim nie byłem. To był główny zarzut i w referacie [Zdanowa — przyp. tłum.], dokładnie to, że nie jestem radzieckim pisarzem. — Znow powtórzyl — nie mogę się zgodzić!”

— Po co to podkreślać? — wyszeptał ktoś obok. — Nie należy!

Zoszczenko: „Siedem ostatnich lat odczuwałem silną depresję i przede wszystkim zajmowałem się przekładami z fińskiego. Wyszło kilka książek, oprócz tego skończyłem książkę o leningradzkich partyzantach, rozpoczęta jeszcze przed uchwałą. Mimo wszystko moje niektóre opowiadania i felietony nie były złe. Jak widać, na skutek jednego

kray, którego frazy powtarzano i cytowano. W najcięższych czasach, chudych latach on porwiał brzożem wychnąć i pośmiać się. Na wszystkich estradach recytował Zoszczenkę, śnił się do upadłego. Śmieł się z cudzej głupoty i uczył śmiać się z siebie.

Zoszczenko powiódł wzrokiem po zgromadzonych ludziach i podniósł głos: Już esiem lat jest mi ciężko, prawie niemożliwe żyć z tymi epitetami, które zawisły nade mną i tak poniżyły moją godność...”

I potem punkt po punkcie czytał sprostowanie każdego z zarzutów, przedstawionych mu w referacie Zdanowa. Jak zrozumieliem, po raz pierwszy miał możliwość publicznie odpowiedzieć. Przecież wszystko, co zaszło od czasu uchwały z 1946 roku pozostawało bez odpowiedzi, rzucono na niego wszelkiego rodzaju potwarze, wymyślano bajdy, obrzucano obelgami, nie dając mu możliwości przeciwstawienia się i usprawiedliwienia. W ludzkich oczach wyglądało na to, że Zoszczenko jest wyższy ponad te zarzuty, że je ignoruje.

Zoszczenko: „Nigdy nie wkręcałem się do redakcji, jak to przedstawiono w referacie. Nie chciałem

## Jak gnębiono Zoszczenkę

### „Zjawisko przelotne”

Beniil Granin



s nich smienione system sprzedaży wódki. A więc moje opowiadania nie są już tak oderwane od życia, a zatem uwzględniłem i przyjąłem wszystkie wytyczne partii o tym, jaka powinna być literatura”.

We wszystkich gabinetach wisiały jeszcze portrety Stalina, jego imię nosiły nadal fabryki, kolchozy, ulice i prospekty, na manifestacjach pierwszomajowych niesiono portrety Lenina i Stalina.

Zoszczenko: „Tak, w przeszłości napisałem немало rzeczy i apolitycznych i bezideowych, tak jest. Częściowo była to danina dawnym czasom, latom dwudziestym. Zaczęłem pisać w dwudziestym pierwszym roku moje opowiadanie „Arysterkratka” wydrukowano w dwudziestym trzecim, ponad trzydzieści lat temu. Grzech pewnej apolityczności, który niewątpliwie w jakimś stopniu istniał, istotnie... Ale teraz tego nie ma... W ów niefortunny wieczór z Anglikami mowa była tylko o referacie Zdanowa. Oto, jak zapytał mnie angielski student: „Wasz osobisty stosunek do referatu Zdanowa? Na każde łone pytanie byłbym gotów odpowiedzieć fartem. Ale w referacie powiedziano, że jestem mętem, chuliganem, stwierdzono, że nie jestem radzieckim pisarzem, że od lat dwudziestych natrząsałem się z ludźmi radzieckimi. Tu nie mogłem żartować, odpowiedziałem poważnie tak, jak myślałem”.

W tym miejscu Zoszczenko przytoczył z kartki swoją odpowiedź angielskim studentom: „Nie mogłem zgodzić się z referatem, gdyż nie godziłem się z krytyką moich dzieł, powstałych w latach dwudziestych i trzydziestych. Pisałem nie o radzieckim społeczeństwie, które wówczas dopiero kształtowało się, ale o strasznych mieszczanach, będących reliktem dawnej epoki”.

Zoszczenko podtrzymywał swój jawny sprzeciw, pierwszy jawny sprzeciw wobec wyższych władz, jaki usłyszałem w swoim życiu.

Zoszczenko: „Cały mój literacki talent oddaję państwu radzieckiemu, narodowi radzieckiemu. Nie widziałem w tamtej mojej odpowiedzi braku patriotyzmu, nlezego karygodnego. A oż mogłem odpowiedzieć? Jak ja mogłem odpowiedzieć? Anna Andriejewna Achmatowa powiedziała: »Zgadza się. Ja o co innego obwiniał. Prawdopodobnie na jej miejscu też tak bym odpowiedział. Ale co mogłem odrzec, jeśli mnie pytają, czy zgadzam się z tym, że nie jestem radzieckim pisarzem, że jestem szumowiną?»

Teraz, gdy już zabrakło Zdanowa i Stalina, Zoszczenko wydawało się, że u swoich towarzyszy i kolegów może znaleźć zrozumienie, trzeba tylko dobrać stosowne słowa, odkryć swoje tajemne uczucia. Niemożliwe, żeby go nie rozumieli.

Zoszczenko: „Dopiero po kilku dniach znalazłem właściwą odpowiedź. Powinienem być z polityczną dokładnością rozdzielić ideową treść referatu od ostrej krytyki mojej osoby. Ale nie umiałem się znaleźć. Był może dlatego, że nie umiałem myśleć politycznie. Tak, to moje niedopatrzenie, że od razu nie rozwiązałem tego problemu. Odpowiedziałem nie całkiem dokładnie i jestem gotów ponieść karę. Ja wiem, co oznacza artykuł, który oczernia mnie takimi słowami, jak: »ukrywał swoje prawdziwe przekonania...» Wiem, czym są utrudnione kontakty z wydawnictwami, wyniosłe spojrzenia redaktorów” — tu Zoszczenko odwrwał się od papierów podniósł głowę, popatrzył na rzędy i wreszcie wszyscy zobaczyli jego twarz. To był ten sam człowiek, który przez wiele lat rozdmieszał cały

pechać się do kierownictwa. Było na odwrót. Kto śmie mi powiedzieć, że tak nie było? Bałem się, jak diabeł święconej wody, wszystkich stanowisk, prosiłem, żeby nie włączali mnie do kolegium redakcyjnego »Zwieszdy».

A oto, jak brzmiała odpowiedź Zoszczenki na zarzut referatu, że schronił się w czasie wojny w Alma-Acie, że jest tchórzem, i nie chciał pomóc państwu radzieckiemu w czasie wojny:

„Dwa razy walczyłem na froncie, miałem pięć orderów bojowych za wojnę z Niemcami i byłem ochotnikiem w Armii Czerwonej. Jak mogłem wobec tego nazwać się tchórzem? Kto może powiedzieć, że uciekłem z Leningradu? Towarzysze wiedzą: pracowałem w Radiokomitecie, w gazecie, stworzyłem wraz z Jewgienijem Szwarem antyfaszystowskie przedstawienie, które szło w czasie blokady. Oni są tu, w Leningradzie, żywi: Akimow, który wystawiał spektakle, Szware, z którym pisaaliśmy. Rozgrywało się to w sierpniu — wrześniu 1941 r. Wówczas całe miasto było oklezione afisżami i karykaturami Hitlera. Nie chciałem wyjechać z Leningradu, ale przymusiłono mnie...”

Na waszych oczach, obecni tu towarzysze, rozwijała się cała moja literacka działalność. Przecież wszyscy zacie mnie wiele lat, wiedcie, jak żyłem, pracowałem, czego chcecie ode mnie? Żebym się zgodził, że jestem tchórzem? Wy tego żądacie? Według was, powinienem przyznać się do tego, że jestem mieszczaninem i mętem, i mam nikczemną duszę? Ze jestem bezczelnym chuliganem?”

Coś zmieniło się w atmosferze sali. Trybuna podniosła się jakby, zawisła nad rzędami. Nagle okazało się, że Zoszczenko się nie bami, nie prosi o łaskę, on atakuje. Sam jeden przeciw całej organizacji z jej sekretarzami zarządu, sekcjami, redaktorami naczelnyimi.

Zoszczenko: „Mogę powiedzieć — moje życie i los pisarza są skończone. Nie mam wyjścia. Satyra powinien być moralnie czystym człowiekiem, a ja jestem skopany jak estalnik sukisyn... Przede mną nie ma już nic — powiedział zimno. — Nie. Nie mam zamiaru o nie prosić, nie potrzeba mi waszej łaski — popatrzył na przydzium — ani waszego Druzina, ani waszych przekleństw i krzyków. Jestem więcej niż zmęczony. Zamieniłbym swój los na każdy inny”.

Okazało się, że wszystkie lata obrabiania, kłatw, wyłączenia z życia nie były w stanie go zniszczyć. Jak tylko otrzymał głos, zdołał obronić swój honor. Pierwszy raz ktoś ośmielił się wystąpić przeciw jednemu z Wiernych Uczniów Kontynuatora. Nie było jeszcze XX Zjazdu. I słowo żadnego z nich nie podlegało dyskusji!...

To było zwycięstwo. Rozległy się nawet oklaski. (Klaskaly dwie osoby).

Pierwszy zaczął Koczetow: „Nie będziemy wyolbrzymiać znaczenia tego wystąpienia którego wysłuchaliście. Nie będziemy wyolbrzymiać tej historii, takie rozgrywa się na schodkach cerkwi. To był historyczny szal i dziwi mnie, że ktoś klaskał, co to za ludzie!”

I tak próbował Koczetow przebić obojętność saly, ale nie mógł i wówczas rąbnął, wpadając w rozdrażnienie:

„Zoszczenko to jednostka, to zjawisko przelotne!”

(Fragmenty artykułu z „Ogonioka” 1988, nr 6. Wybrała i przetłumaczyła: Aleksandra Kowal).

# Drobne zdarzenie z osobistego życia

Michał Zoszczenko

Z GUBIĆ kałoz w tramwaju oczywiście nie trudno. Szczególnie jeżeli cię z boku przycisną, a od tyłu jakiś chuligan nadejście na obcas — i już po kałozu. Nie łatwiejszego, jak zgubić kałoz. Mnie zdarzył z nogi kałoz w jeden mąg. Zanim człowiek pisać zdążył, jak to się mówi.

Kiedy wsiadałem do tramwaju, jak dziś pamiętam, oba kałozy były na swoim miejscu. Jeszcze nawet ręką pomacałem przy wchodzeniu, czy aby są oba? A wysiadłem i widzę: jeden jest jak ta lala, a drugiego nie ma. But jest i skarpetka też, widzę, jest i kałozony nieruszone. A jednego kałozu nie ma.

A biec za tramwajem, naturalnie, nie ma najmniejszego sensu.

Zdjąłem ten kałoz, który mi został, zawinąłem go w gazetę i tak już idę dalej. „Po pracy — myślę sobie — wybiorę się na poszukiwania. Nie może przecież towar przepaść. Jakiś go w końcu odszukam”.

Po robocie poszedłem szukać. Najampręd poradziłem się jednego znajomego motorniczego.

Ten po prostu otuchą napelniał moje serce.

— Dziękuj Bogu — powiada — żeś go zgubił w tramwaju. Miałeś szczęście, żeś właśnie w tramwaju zgubił. W innym miejscu publicznym nie rękę, ale zgubił w tramwaju — czysta sprawa! Jest u nas takie biuro rzeczy znalezionych. Przychodzisz i zabierasz. Czysta sprawa!

— No to — powiadam — dziękuję bardzo. Po prostu kamień z serca. A najważniejsze, że kałoz prawie nowy. Dopiero trzeci sezon go noszę.

Następnego dnia pojechałem do tego biura.

— Czy mógłbym — powiadam — bracia kochani, odzyskać mój kałoz? W tramwaju mi z nogi ściągnęli.

— Można — mówią. — Co za kałoz?

— Kałoz — powiadam. — Władom, zwyczajny kałoz. Rozmiar — dwunastka.

— A my — mówią mi — dwunastego numeru mamy może ze dwanaście tysięcy. Podaj jakieś znaki szczególne.

— Znaki szczególne — powiadam — wiadomo jakie: na pięcie ośmiokąt obszarpany, wewnątrz wyściółki barczanowej nie ma, bo się zdarła.

— A my — mówią — takich kałozy mamy może więcej niż tysiąc. Nie było jakichś specjalnych znaków?

— Były — powiadam — specjalne znaki. Nosek jakby całkiem oderwany, ledwo się trzyma. I obcas — mówię — też nie ma. Zdarł się zupełnie. A bolci — mówię — jeszcze na razie niczego, trzymają się. Kałoz — mówię — nie był naturalnie taki zupełnie nowy, ale jako panułka po pieniądzech, jakie kosztował, bardzo cenny.

— Posiedź chwilę — mówią. — Zawsze poszukamy.

Nagle przynoszą mój kałoz. Ucieszyłem się okropnie. Po prostu rozczuliłem się.

„Ależ — myślę sobie — aparat pracuje. I jacy — myślę — ideowi ludzie, tyle trudu sobie zadali z powodu jednego kałozu”.

Mówię im: — Wdzięczny wam będę — mówię — do grobowej deski. Dawajcie go tu czym prędzej. Zaraz go włożę. Dziękuję bardzo.

— Nie, towarzyszu szanowny — mówią oni — dać go wam nie możemy. To wcale nie wyszła zgubił.

— Jak to? — mówię. — No przecież ja zgubiłem. Co was ugryzło?

Oni mówią:

— Wierzymy wam i współczujemy ogromnie i zupełnie prawdopodobne jest, że to wyście zgubili właśnie ten kałoz. Ale wydać go nie możemy. Przynieść zaświadczenie, że rzeczywiście

ście, zgubił kałoz. Niech administracja domu ten fakt poświadczy, a wtedy bez zbędnej biurokracji natychmiast wydamy ci to, co zgodnie z prawem zgubił.

— Bracia kochani — mówię — towarzysze najświętsi, w domu nie przecięć nawet nie wiedzą o tym fakcie. Mogą mi nie wydać takiego dokumentu.

— Wydadzą — powiadam — ładnego prawa nie mają nie wydać. A od czego oni są?

Raz jeszcze popatrzyłem na kałoz i wyszedłem.

Nazajutrz idę do przewodniczącego komitetu blokowego.

— Dawaj — powiadam — dokument. Kałoz przepada.

— A czyż ty — mówię — aby na pewno zgubił? Nie kręcisz? A może masz tylko chrapkę na ten nadliczbowy artykuł powszechnego użytku?

— Zgubiłem — mówię — słowo dać.

On powiada:

— Na słowach naturalnie nie mogę polegać. Gdybyś mi na ten przykład przyniósł zaświadczenie z remizy tramwajowej, że zgubił kałoz, wtedy mogę ci dokument wydać. A tak nie mogę.

Ja mówię:

— Przecież oni mają właśnie odbywać do was.

On mówi:

— W takim razie — powiada — w ostateczności napisz podanie.

Ja mówię:

— A co mam napisać?

On mówi:

— Pisz: dnia tego a tego zginał kałoz. I tak dalej. No i zobowiązuję się do czasu wyjaśnienia sprawy nie opuszczać miejsca zamieszkania.

Napisałem podanie. I następnego dnia dostałem urzędowe zaświadczenie.

Poszedłem z tym zaświadczeniem do biura rzeczy znalezionych. I tam, wy-

obrażacie sobie, bez ceregieli i bez żadnej biurokracji wydają mi mój kałoz.

Dopiero kiedy włożyłem nogę w kałoz, poczułem przypływ prawdziwego rozczulenia. „Ależ — myślę sobie — ludzie pracują. Czy gdziekolwiek indziej tak długo zawracaliby sobie głowę moim kałozem? Po prostu wyrzuciliby go z tramwaju i to wszystko. A tu nawet tydzień nie minął, jak zacząłem koło tego chodzić — i już mam go z powrotem”! Przykre tylko, że w ciągu tego tygodnia zabiegów zgubiłem pierwszy kałoz. Cały czas nosiłem go w zawinątku pod pachą i pojęcia nie mam gdzie go mogłem zostawić. A najgorzej, że nie w tramwaju. Bo jak nie w tramwaju, to sprawa przegrana. No bo gdzie go szukać?

Ale za to drugi kałoz mam. Postawiłem go sobie na komodzie. Czasem smutek człowieka nachodzi — spjrzą wtedy na kałoz i od razu na duszy, robi się lekko i beztrosko. Jednak, myślę sobie, administracja pracuje dzielnie!

Opowiedzieliśmy wam tę historię i teraz strach nas ogarnia, żeby się tylko tramwajarze na nas nie obrażili. A co tu jest obraźliwego?

Z pewnością zdążyli już te swoje uchybienia naprawić. I z pewnością wydawanie kałozy odbywa się tam teraz w trybie jeszcze bardziej uproszczonym. Szczególnie że działo się to w roku trzydziestym. A od tego czasu nic nie zgubiłem. Tak że nie mogę zaspokoić waszej ciekawości.

A w ogóle to nie idzie tu nawet o tramwaj, tylko o samą zawziętość psychologii. A ponieważ walczymy właśnie z tą psychologią i w ogóle praca administracji jest coraz lepsza, to o czym tu mówić? Jasna rzecz, że walka jest ciężka. Tym bardziej, że podobna psychologia to przede wszystkim głupota. A głupota, wiadomo, to nie ból głowy, od jednego kogutka nie przejdzie.

# Historia z przebieranką

WSZYSCY wiedzą naturalnie, że obecnie dostać pokój w hotelu nie jest tak łatwo.

Przekonałem się o tym od razu. Tak tylko przwiechałem na południe.

Wysiadłem ze statku, wchodzę do jakiegoś hotelu, a tam portier mówi:

— Wie pan, po prostu nadzieję się nie może współczesnej publiczności. Jak tylko statek przychodzi, wszyscy od razu koniecznie do nas. Jakby to był jakiś hotel No owszem, hotel Ale pokoi nie ma. Przepelnienie.

Postanawiam wobec tego użyć następującego podstępu. Wychodzę na ulicę i obmyślam plan akcji.

Niosę ze sobą dwie sztuki bagażu. Jedną — to zwykły koszyk spojrzyć nie warto. Za to drugą — bardzo wspaniałą walizką fibrową czy też ściślej mówiąc, z dykty.

Koszyk zostawiam u gazeciarza, przewracam na drugą stronę moje młody-narodowe palto gumowe z podszewką w kratkę, nasuwam na nos cyklistówkę, kupuję cyzaro i zapalam je. I w takiej nienaturalnej postaci z moją eksportową walizką wdzieram się znów do tego hotelu.

Szwajcar mówi:

— Nie ma pan co wchodzić, wolnych pokoi nie ma.

Ja podchodzę do portiera i mówię łamanym językiem:

— Ein chamber-zimmer — powiadam — ja wohl?

Portier mówi:

— O rety, nie, tylko zastranicznik się nam trafił.

I odpowiada tak samo łamanym językiem:

— Ja wohl, ja wohl. Jeden chamber-zimmer naturalnie ja wohl Bitte-dritte, w tej sekundzie. Zaraz poszukam jakie-

śód lepszego pokoju i żeby mnie było pluskiew.

Ja stoję w butnej pozie, a tydkci się pode mna trzesa.

Portier, który lubi sobie poszwargotać w obcym języku, pyta:

— Pardon — powiada — panie szanowny, z przeproszeniem. Vous êtes Niemiec, oder może jeszcze co innego?

„Do diabła — myślę sobie — A nuż ta cholera szwargocze po niemiecku? I zaraz mi się rozgada w tym języku”.

— No — powiadam — Ich bin eine chamber-zimmer, Hiszpania, Komprene? Hiszpania Padespañ.

No, teraz portier zbierał się zupełnie.

— O rety — powiada — nie, tylko Hiszpana do nas przyniosło. W tej sekundzie — powiada. — A także, a także, wiem, słyszałem, Hiszpania, padespañ.

A rece mu się trzesa. I mnie także się trzesa i lomu się trzesa. I tak sobie rozmawiamy i trzesiemy się obaj.

Ja mówię łamaną hiszpańszczyzną:

— Ja wohl — mówię. — Bitte-zur-bitte. Odnies pan — powiadam — zaraz te walizki do mojej numeracji. A potem już — powiadam — porozmawiamy dogadamy się, co i tak.

— Ja wohl, ja wohl — odpowiada portier. — Niech pan będzie spokojny.

Ale widać, że zaczyna brać w nim kóre strona handlowa.

— A płacić — pyta — zamierza pan szanowny jak? In walut, oder czyżby jednak naszymi?

I jednocześnie palcami robi znaki zrozumiałe dla przyjeźdźnych obcokrajowców — kółka i jedynki.

Ja mówię:

— A tego ja akurat pana nie rozumiem. Odnos — powiadam — cholero, szybciej te walizki.

Aby tylko, myśle sobie, dostać się do pokoju, a potem mogą ze mnie zrobić marmolade.

Wiec portier łapie moją walizkę. Ale ze zbyt wielką gorliwością łapie ją tak energicznie, że klepski zamek nie wytrzymuje i walizka się otwiera.

Otwiera się moja walizka i naturalnie wysypują się z niej, mówiac bez ogródek, rozmaite lachy. Jakaś polatana bieleźna, półkrótkie kałozony, mydło „Ługowe” i rozmaite takie kłamoty rodzimej produkcji.

Portier popatrzył na to bogactwo, zbladł i od razu wszystko zrozumiał.

— No — powiada — kanallo hiszpańska, pokazuj paszport.

Ja mówię:

— Nie rozumiem. A jeżeli — powiadam — wolnych pokoi nie ma, to ja sobie pójde.

Portier odzywa się do szwajcara:

— Widziałeś? Pod zastraniczną banderą chciał się dostać.

Ja chce tak naipredzej odejść, ale szwajcar mówi:

— Tsss, towarzyszu, proszę bliżej, Nic się nie bójcie. Powiedzcie, rzeczywicie tak wam potrzeba pokoju?

Ja mówię:

— Zemdliło mnie na statku, ledwie się na nogach trzymam. I nawet gotów jestem wyplacić nagrodę, żeby mi tylko pozwolili poleżeć w pokoju.

Portier mówi:

— Tu się łanówek nie przyjmuje. A jeżeli tak wam jest potrzebny pokój, może go wam dać po prostu tak. Nieodpłatnie. Tylko klucza do niego nie ma. Pokój jest zamknięty, a klucz zginął. Słusarzowi zapłaćcie za to piętnaście rubli! On wam otworzy i dobrze będzie klucze ze starego zastawia.

Placę te sume i dostaję pokój.

A wieczorem dowiaduje się, że mój klucza od tego pokoju nie zgubił, tylko po prostu wtrzyli mi za piętnaście rubli zwyczajny klucze od tego pokoju. Powiedział mi o tym sąsiad, od którego wzięli za to samo dziesięć rubli. A ode mnie o pięć rubli więcej, jako od byłego Hiszpana.

No, ale zadowolony byłem, że dostałem pokój.

(Teksty opowiadań wg: Michał Zoszczenko, Niebieska księga, Warszawa 1972; tłum. Jerzy Pański).

Michał Zoszczenko (1895-1958), rosyjski nowelista i satyryk. Należał do grupy literackiej powstałej w 1921 r. „Bractwo Serapiona” które dało w kierunku eksperymentu i poszukiwań nowatorstwa w fabule i języku. Członkowie grupy (m. in. W. Kawierin, K. Fiedin, N. Tichonow) występowali przeciwko schematyzmowi i tendencyjności w literaturze. Jednocześnie przyznawali, że chcą służyć rewolucji i nie negowali bezapelacyjnie ideologii w sztuce.

M. Zoszczenko jest autorem rjadowych felietonów i nowel w których wymyślał przytyki starej obyczajowości, biurokracji, sprzeczności społecznej okresu NEP-u. Popularność ryskały mu głównie nowele satyryczne zebrane w zbiorach: „Szanowni obywateli” (1926), „Nerwowi ludzie” (1927), „Z kogo się śmieć?” (1928), „Niebieska księga” (1928); komedie satyryczne „Pięćnaście teczka” (1929) i „Niech płacze ochowiec” (1946). Jest autorem opowiadań biograficznych i utworów dla dzieci a także powieści „Przed wschodem słońca” (1943).

# Wybić się na niepodległość

## Legiony, POW Piłsudski

Jan Lewandowski

**L**EGIONY Polskie z lat pierwszej wojny światowej, stanowiące do dziś jeden z symboli polskich dążeń niepodległościowych, rozpoczęły swą formalną egzystencję od złożenia przysięgi według rot austriackiego pospolitego ruszenia. Przysięgi na wierność „cesarzowi Austrii i Apostolskiemu Królowi Węgier, etc., etc.”. Podlegały „cesarskiej i królewskiej Komendzie Legionów Polskich”, a przez nią austro-węgierskiej Naczelnej Komendzie Armii. W ramach armii austro-węgierskiej pozostawały do kwietnia 1917 r.

Takie organizacyjne usytuowanie Legionów poprzedziła, zapoczątkowana przez Piłsudskiego 6 sierpnia 1914 r., kilkutygodniowa próba prowadzenia samodzielnych polskich działań zbrojnych przeciw Rosji przez oddziały Strzelców. Nie uzyskawszy masowego poparcia dla swych działań, postawiony przez austriackie władze wojskowe wobec alternatywy rozwiązania oddziałów strzeleckich lub podporządkowania ich c. i k. armii, wybrał Piłsudski tę drugą możliwość.

Kadrę Legionów stanowiła młodzież z Galicji i Królestwa, przeszkolona przed wojną głównie w Strzelcu, Związku Strzeleckim i Polskich Drużynach Strzeleckich. Były Legiony formacją ochotniczą, przez którą przeszło około 30 tys. żołnierzy. W okresie największego rozwoju, w lecie 1916 r. liczyły niespełna 20 tys. ludzi w trzech dwupulkowych brygadach piechoty, dwu pułkach kawalerii oraz formacjach artylerii, łączności, saperów i tyłowych. Straty w zabitych i rannych wyniosły około 15 tys. żołnierzy w latach 1914—1916. Jedną armią rosyjską, niemiecką czy austriacką liczyła wówczas około 200 tys. ludzi. W sierpniu 1914 r. Niemcy zmobilizowali około 4 mln mężczyzn.

To nieco encyklopedyczne, operujące cyframi zestawienie nie ma na celu deprecjonowania polskiego czynu zbrojnego w czasie „wielkiej wojny”, zwłaszcza czynu związanego z osobą Piłsudskiego. Legiony, nawiązujące do powstańczej idei walki zbrojnej z zaborcą o niepodległość, do idei armii polskiej jako podstawowego narzędzia tej walki i jednocześnie elementarnego czynnika polskiej państwowości, zapisały piękną kartę w porobiorowych dziejach. Mogły legionistów, rozsiadane w Karpatach, w Galicji i Kongresówce, na Polesiu i Wołyniu, dawały świadectwo ich przekonaniu „że TA, CO NIE ZGINĘŁA, wyrośnie z naszej krwi” i że „trzeba pieczętować krwią”.

Wojenne dzieje Legionów przesiąknięte były wszakże polityką w nie mniejszej mierze niż krwią i na szali politycznej zaważyły znacznie więcej niż na arenie zmagania zbrojne. Ich twórcą i ideowy przywódca był przede wszystkim politykiem. Wreszcie nie straty wojenne położyły kres istnieniu Legionów, ale decyzje strictly polityczne.

Odwolując się do romantycznej idei powstańczej, Piłsudski był w polityce realista i dostosowywał swe działania do istniejących warunków. Decydując się na utworzenie polskich formacji wojskowych u boku państw centralnych, zakładał, że istnienie polskich oddziałów przyspieszy podjęcie przez te państwa sprawy polskiej, że sam fakt istnienia tych formacji i ich walki z jednym z zaborców wydobycie sprawę polską na powierzchnię życia politycznego. Jednocześnie dążył Piłsudski do możliwie dalekiej odrębności polskich brygad, do zrzućcia z nich „czarno-złotego” austriackiego piętna, do połączenia wreszcie polskich formacji, która w czasie pierwszej wojennej jesieni i zimy walczyła na różnych odcinkach frontu austriacko-rosyjskiego (I Brygada w Kongresówce i na Podhalu, II, zwana potem „Karpaczką” lub „Żelazną”, we Wschodnich Karpatach).

Legiony nie były jedynym wojskowym atutem w działalności politycznej Piłsudskiego. Po drugiej stronie frontu, w części Kongresówki zajmowanej nadal przez władze rosyjskie, utworzono z członków organizacji strzeleckich Polską Organizację Wojskową (POW). Miała ona prowadzić działalność dywersyjną na tyłach wojsk rosyjskich, kie-

rować ochotników do Legionów, ale też wkrótce stanowić jeden z atutów w rozgrywce politycznej Piłsudskiego z państwami centralnymi, atut tym bardziej cenny, że „zakryty” — niezależny wojskowo od państw centralnych, a przy tym stanowiący niewiadomą co do liczebności i wpływów, w przeciwieństwie do podporządkowanych wojskowo i mających określony stan liczebny Legionów, nie traktowanych zresztą zbyt życzliwie przez władze wojskowe monarchii Franciszka Józefa.

Koncepcję legionową popierały w pierwszym roku wojny zarówno skupione wokół Piłsudskiego ugrupowania niepodległościowe, jak i zwolennicy orientacji austriackiej, skupieni w krakowskim Naczelnym Komitecie Narodowym (NKN). To NKN był politycznym i materialnym opiekunem Legionów, a jego Departament Wojskowy, kierowany przez Władysława Sikorskiego, prowadził akcję werbunkową do brygad legionowych.

Bilans polityczny pierwszego roku wojny nie był dla zwolenników Legionów korzystny. Wprawdzie państwa centralne wyparły Rosjan z Kongresówki i prawie całej Galicji, ale w sprawie polskiej panowało nadal głuche milczenie. 5 sierpnia 1915 r. do opuszczonej przez Rosjan Warszawy wkroczyły wojska niemieckie. Legionistów nie wpuszczono do stolicy Polski... Do okupacji niemieckiej, a w niej znalazła się Warszawa i Łódź, nie wpuszczono placówek werbunkowych NKN. Zresztą i na terenach zajętych przez wojska austriackie werbunek szedł słabo. Były obawy, czy uda się wypełnić powstałe w czasie kampanii 1915 r. straty. Pewien wyjątek stanowił tylko Lublin, witający entuzjastycznie 30 listopada 1915 r. legionowych ułanów Beliny-Prażmowskiego i zasilający legionowe szeregi dwoma tysiącami ochotników.

W trudnej dla siebie sytuacji Piłsudski ogłosił wstrzymanie werbunku do Legionów — krok, który zaskoczył jego zwolenników i wywołał ataki na Komendanta I Brygady ze strony NKN i innych adherentów orientacji austriackiej. Na stanowisku kontynuowania werbunku stał też szef Departamentu Wojskowego NKN, płk Władysław Sikorski. Wstrzymanie werbunku, jak tłumaczyli zwolennicy Piłsudskiego, nie oznaczało zmiany dotychczasowego „frontu antyrosyjskiego”. Ostrzegano jednakże przed bezkrytycznym angażowaniem



Patrol legionowy na Polesiu  
Repr. Maciej Kaczanowski

się po stronie państw centralnych. „Dając groźbę wdowi, baczyć jednak należy, by na odpowiednim ołtarzu go złożyć” — pisało na łamach lubelskiej „Wolnej Polski” jesienią 1915 r. Tym bardziej, że Legiony nie były już jedynym „ołtarzem”, na którym można było składać ofiary na rzecz polskiego wojska. Z dwu tysięcy lubelskich ochotników z sierpnia 1915 r. tylko część trafiła jako uzupełnienie do wykrwawionych pułków. Drugą część, po przeszkoleniu w Lublinie, skierowano z powrotem w teren, do organizowania tam POW i innych placówek niepodległościowych.

Współdziałanie między Legionami a POW nabierało rozmachu. Z I Brygady wysłano oficerów i podoficerów do organizowania i szkolenia POW. Ta z kolei organizowała „nielegalny” werbunek do I Brygady. „Nielegalny”, bo z pominięciem aparatu werbunkowego Departamentu Wojskowego NKN. Jednocześnie POW działała nadal w mniej lub bardziej zakrytym sposobie.

Kolejny rok wojny, 1916, to w dziejach wojskowych Legionów ciężkie walki letnie połączonej brygady na Wołyniu i Polesiu w czasie rosyjskiej ofensywy Brusilowa, Kostiuchnówka, Polska Góra, Rudka Miryńska — to kolejne i jedne z ostatnich bitew Legionów. Od wiosny 1916 r. przenikały wiadomości o rokowaniach niemiecko-austriackich w sprawie polskiej. Wacław Lipiński, podoficer 5 pułku piechoty (I Brygada), notował w swym dzienniku: „18 marzec (1916 r.)

Nad Wiesiółuchą. Znowu dnie na ćwiczeniach, noc na placówkach. Przyjechał dzisiaj Berbecki (dowódca pułku) i «trzymał» bardzo długą odprawę w batalionie dla wszystkich oficerów. Ponoć «ni z tego, ni z owego ma być Polska na pierwszym», i to już kwietnia”.

Zanim doczekano się aktu 5 listopada 1916 r., minęło przeszło pół roku, właśnie z letnimi ciężkimi walkami i dramatyczną dymisją Piłsudskiego ze stanowiska komendanta I Brygady. Miały iść za nią dymisje oficerów i żołnierzy. Kryzys powstrzymała listopadowa zapowiedź utworzenia państwa polskiego. Sprawy polskiej przejęli Niemcy i do ich dyspozycji, a personalnie do dyspozycji warszawskiego generalnego gubernatora, gen. Hansa Beselera, przekazali Austriacy w kwietniu 1917 r. pułki legionowe jako kadry przyszłej armii polskiej. Armii tworzonej według niemieckich regulaminów i pod niemiecką komendą.

Ale w kwietniu 1917 r. sytuacja polityczna była już zupełnie inna niż w końcu 1916 czy nawet na początku 1917 r., kiedy biorący za dobrą monetę niemieckie obietnice Piłsudski znalazł się w powołanej przez państwa centralne Tymczasowej Radzie Stanu (TRS). POW, na początku 1917 r. dorównująca prawie liczebnością Legionom, wyszła z podziemia, oddając się do dyspozycji TRS przy formowaniu wojska polskiego. Była więc POW, były Legiony, dobre intencje strony polskiej i niemieckiej. I tylko jedna, pozornie drobna kwestia: co tworzyć najpierw, aparat państwowy Królestwa Polskiego czy armię? Rząd czy wojsko? Rozpoczęła się walka o polskiego rekruta z Królestwa. Było o co walczyć, bo według wliczeń Sikorskiego, mężczyźni zdolnych do noszenia broni znajdowało się tutaj około miliona. Najpierw armia, jak chcieli Niemcy, czy jednak polski rząd? Wkrótce miało się okazać, że na jedno i drugie jest jeszcze za wczesnie.

Rewolucja lutowa w Rosji i oświadczenia Rządu Tymczasowego i Piotrogrodzkiej Rady Delegatów w sprawie polskiej podcięły polityczne korzenie dotychczasowego związku Piłsudskiego z państwami centralnymi. Walka z Rosją u boku Niemiec i Austro-Węgier miała sens, dopóki Rosja nie uznawała prawa Polaków do własnej państwowości. Akt 5 listopada 1916 r. przemawiał wówczas dodatkowo na korzyść państw centralnych, deklarujących wolę utworzenia państwa polskiego. Tymczasem już wiosną 1917 r. było oczywiste, że listopadowy manifest dwuczesarski miał na celu tylko pozyskanie polskiego „Kanonenfutter”, że TRS nie posiada żadnych uprawnień polskiego rządu. Świadczyło o tym m. in. przekazanie Legionów nie TRS, a Beselerowi. Niechęć do Niemców pogłębiły ich poczynania w Legionach, zmierzające do rozdzielenia żołnierzy z Królestwa („Polaków”) od towarzyszy broni z Galicji („Austriaków”). Już w maju 1917 r. rozpoczęły się represje niemieckie wobec POW, która ponownie przechodziła do działania w konspiracji.

W lipcu 1917 r. pułki legionowe, już jako Polska Siła Zbrojna (Polnische Wehrmacht), miały składać przysięgę według tekstu uchwalonego na żądanie Niemców przez TRS, tekstu zawierającego przyrzeczenie braterstwa broni z wojskami państw centralnych. Piłsudski wezwał swoich zwolenników w Legionach do odmowy złożenia przysięgi. Efekty tego, co potocznie nazywa się kryzysem przysięgowym, były następujące:

W podporządkowanej Beselerowi Polskiej Siłce Zbrojnej znalazło się zaledwie 1100 zaprzysiężonych legionistów. Ponad 3300 niezaprzyrzysiężonych królewiaków znalazło się za drutami obozów w Łomży, Beniaminowie i Szczypiornie. Około 3500 poddanych austriackich, którzy wystąpili z Legionów, trafiło w szeregi c. i k. armii i najczęściej na front włoski. Wreszcie około 7500 przeważnie żołnierzy II Brygady zostało ponownie przekazanych Austro-Węgrom jako Polski Korpus Posiłkowy. Ponad 2 tys. legionistów wzięło w tym okresie urlopy, bądź w inny sposób uniknęło internowania, zasilając w znacznej części szeregi POW.

W nocy z 21 na 22 lipca 1917 r. Niemcy aresztowali w Warszawie Piłsudskiego i byłego szefa sztabu I Brygady, Kazimierza Sosnkowskiego. Aresztowania objęły też innych działaczy niepodległościowych w okupacji niemieckiej.

Kryzys przysięgowy formalnie zamykał okres istnienia Legionów. Stanowił też ważny moment w działalności POW. Z czynnego udziału w życiu politycznym został wyeliminowany Piłsudski. Jednakże drastyczne środki, jakimi postużyli się Niemcy w lipcu 1917 r., niczego nie rozwiązały. Nie było już wprawdzie Legionów, ale pozostali legionieści. Do legendy Legionów i ich twórcy dopisywano nowe karty. Do nazw-symboli, takich jak: Oleandry, Krzywopłoty, Rokitna czy Kostiuchnówka, przybyły: Beniaminów, Szczypiorno, Megdeburg. W kraju pozostała POW. Aresztowanie Piłsudskiego i rozbiście Legionów nie zmniejszyło, a powiększyło grono zwolenników idei, którego symbolem stał się internowany w Magdeburgu Komendant. Świadczą o tym wydarzenia z okresu między lipcem 1917 a listopadem 1918 r. I rolę, jaką odegrali w nich ludzie z Legionów i POW.

(dokończenie nastąpi)





Posłowie tatarscy zaprzysięgają sojusz.

## Sensacje z przeszłości

# Handel niewolnikami w Lublinie

Adam Andrzej Witusik

**O**STATNI mój list pisałem z Łańcuta, donosząc, że jedziemy do Kazimierza; aleśmy przyjechali tu do Lublina, miasta, gdzie tak tak w Konstantynopolu sprzedają ludzi i kobiety; są to Szwedzi, których Tatarzy w ostatniej porażce zabrali, a z której nikt nie uszedł, gdyż zostali otoczeni zewsząd. Najdroższa kobieta kosztuje tylko 300 dukatów; przez litosc chętno już wykupić wszystkie i potem odesłać Kłedy sprzedawcy nie dają tyle, co żąda, białe biedna niewolnice podług upodobania i robi z nią to, na co nie każda chętnie pozwala. Czynną zapewne to dla wzbudzenia litosci w kupujących. Jest tam między innymi bardzo piękna dziewczyna, która została na подарunek dla chana [krzymskiego] Królowa [polska Ludwika Maria] jednakże będzie się wszelkimi sposobami starała, aby ją z rąk ich wyswobodzić — pisał w liście z Lublina z 5 września 1656 r. do przyjaciela sekretarz królowej Ludwicy Marji, Francuz Pierre des Noyers. A w pięć dni później donosił: „Zniesiono dwa tysiące łazdy szwedzkiej, z których ani jeden nie uszedł. Przedają ich tutaj codziennie na targu, a kiedy Tatarowi nie dosyć dają za którego, ucina mu głowę. Królowa [Ludwika Maria] wykupiła dzisiaj dość piękna panienkę szwedzka za 1200 franków, gdyż po- hańcy grozili, że ją zżwalcą. Jeżeli wkrótce wykupiona nie będzie, kobietę tylko bardzo mało mała, panie bowiem nasze polskie za przykładem królowej wykupują i dają im wolność”.

Cytowane listy są autentyczne, a wiadomości w nich zawarte w pierwszej chwili szokują. Postaramy się więc wyjaśnić owe sprawy.

W momencie najazdu szwedzkiego na Polskę, w lipcu 1655 r., Tatarzy należeli do sojuszników Rzeczypospolitej. Szybki rozkład państwa polskiego pod ciosami wojsk szwedzkich Karola X Gustawa poważnie zaniepokoił Krym. Groziła mu przecież zmiana wygodnego układu sił w Europie Wschodniej. Jesienią 1655 r. wyruszył więc z Krymu na czele wojsk, lecz nie przeciw Szwedom, ale będącym w wojnie z Polską Chmielnickiemu i wspomagającym go Rosjanom — sam chan Mehmed Gerez IV. Na wieść o zbliżaniu się sił tatarskich Chmielnicki odstąpił od oblężenia Lwowa, zadowolwszy się okupem. Rychło pod Jezierną został osaczony przez Tatarów, których wzmożnił oddział polski z Kamieńca Podolskiego dowodzony przez wiernego królowi Janowi Kazimierzowi pułkownika Piotra Potockiego. Chmielnicki musiał pójść na ułode, podpisując układ z Tatarami. Na

mocy tego układu Chmielnicki podporządkował się formalnie monarchii polskiej Janowi Kazimierzowi, obiecał zerwać sojusz z Rosją, zmniejszyć rezerwy Kozaków do 6 tysięcy oraz pomóc Polsce w wojnie ze Szwedami. Wspomagający armię kozacką Rosjanie zostali pozbawieni łupów; musieli też uiszczyć duży okup, aby uratować się przed niewolą tatarską. Po tym sukcesie ordynicy rozłożyli się obozem pod Haliczem, skąd chan wysłał posła do króla Jana Kazimierza, donosząc mu o zwycięstwie nad Kozakami, zmuszeniu ich do wierności Polsce i przepędzeniu Rosjan.

Na wiadomość o masowym przechodzeniu magnaterii i szlachty polskiej pod protekcję króla szwedzkiego Karola X Gustawa, rozesłał chan groźne uniwersały po kraju, wzywające do oporu przeciw najazdowi. W jednym z nich miał stwierdzić: „Doniesiono nam, żeście opuścili Miłocińskiego Pana Jana Kazimierza, króla polskiego, brata naszego i przystali do jakiegoś Szweda, którego nie znamy i ani znać nie chcemy. Z tego powodu napominamy was, abyście natychmiast do wierności królowi JM bratu naszemu wrócili, bo w przeciwnym razie ta sama szabla, którąśmy przepędzili Moskwę i pokroiliśmy Kozaków i do posuszenia królowi zmusili, spocznie na waszych karkach wymłoszonych, i sprawimy, że chcecie brata naszego Jana Kazimierza królem uznać, jako wiernym poddanym przystoi”.

Bezskuteczne były starania dyplomacji szwedzkiej i wspomagającej ją siedmiogrodzkiej w celu odciągnięcia Tatarów od sojuszu z Janem Kazimierzem. Chan Mehmed Gerez IV wprowadził powrócił wnet na Krym, pod Haliczem pozostała jednak większość ordy. Jej obecność szachowała zarówno przymusił do wierności Polsce Chmielnickiego, jak i Szwedów, i mogła stronnikom Jana Kazimierza przetrwać krwawe chwile i pozwoliła umocnić swe pozycje. Dzięki Tatarom utrzymali oni w swoich rękach kluczowe i ważne ośrodki w południowo-wschodniej części kraju: Lwów i Kamieniec Podolski, a także woj. ruskie i większość podolskiego. I rychło zwłaszcza Lwów miał stać się podstawą działań przeciw okupantowi szwedzkiemu.

Dotrzymywanie wierności przez chana krzymskiego Janowi Kazimierzowi podnosiło na duchu wielu Polaków, wazyło na decyzjach politycznych; pozostać wiernym czy nie prawowitemu monarchii. I tak na zjeździe szlachty krakowskiej 21 grudnia 1655 r. w Nowym Sączu obradujący „wbudzeni statecznością chana tatarskiego”, postanowili zawładnąć konfederacie w obronie prawowitego króla i wezwać pod broń „pospolite ruszenie. Niechętnym i osie-

szłym grozili: „Chan tatarski tego dokłada, że któregośkolwiek szlachcica w domu, nie na usługę pospolitej [by] został, jako nieprzyjaciela koronnego znośić będzie”. Podobne postanowienie podzieli konfederaci w Tyszowcach osiem dni później. Tymczasem jednak przebywające pod Haliczem wojska tatarskie przed nadejściem zimy wycofały się do swych siedzib.

Dla króla Jana Kazimierza dotrzymywanie sojuszu przez Krym było jednym z istotnych argumentów przemawiających za powrotem do kraju, który opuścił, udając się na emigrację na habsburski wtedy Śląsk.

Jan Kazimierz od samego początku najazdu szwedzkiego pokładał wielkie nadzieje w pomocy tatarskiej. Dwór królewski zabiegał na Krymie o przysłanie czambułów tatarskich, które by- łyby użyte do walki przeciw szwedzkiemu najazdowi. Oczywiście, zdawano sobie sprawę z faktu, że tego rodzaju ewentualna pomoc zawiera i poważne niebezpieczeństwo, że tatarski sojusznik może być groźny i dla ludności polskiej, niemniej efekt wojskowy tej pomocy mógł być tak duży, że warto by-

łać. Karol X Gustaw zmuszony był do rzucenia przeciw Tatarom znacznych sił, które nie bardzo umiały sobie radzić z lotnymi ordynami Tatarzy, dali się poważnie Szwedom we znaki szczególnie w drugim dniu walki, gdy Karol X Gustaw osobiście musiał pod Bródem odpierać ich niespodziewany i śmiały atak, który wywołał spore zamieszanie w szeregach wojsk sojuszników. Ordynicy potrafili jeszcze zająć 200 wozów Brandenburczykom, nie doznając przy tym prawie żadnych strat. Po bitwie zaś — tak zanotował dworzannin królowej Ludwicy Marji — „Tatarzy, bojąc się, aby Szwedzi nie opanowali Pragi i Kaweczyna, dwóch wsi wielkich naprzeciwko Warszawy na drugim brzości Wisły leżących, zapalili je wraz z naszym mostem, aby Szwedzi łodzi spod niego nie zabrali i innozo nie sporządzili”.

W niecały miesiąc później, 25 sierpnia 1656 r., Stefan Czarniecki przy pomocy Tatarów rozbił znaczny oddział szwedzki pod Strzemeszną, niedaleko Rawy Mazowieckiej. Oddział ten konwojował zony oficerów szwedzkich. Straty wroga były bardzo duże, wielu żołnierzy szwedzkich poległo, wielu dostało się do niewoli, licznych ścięto na placu boju. To właśnie tych jeńców wziętych pod Strzemeszną sprzedawali Tatarzy na początku września w Lublinie.

Jesienią 1656 r. posiłkowy oddział tatarski Subchana Ghaziego agi wysłany został wraz z wojskami litewskimi do Prus Książęcych przeciw zdrajcy polskiemu, elektorowi brandenburskiemu i księciu pruskiemu Fryderykowi Wilhelmowi, sojusznikowi króla szwedzkiego. Już na terenie Polski trudno było utrzymać ordynów w ryzach. W Prusach Książęcych, gdy dopuszczono im cugli, łuna pożarów i krzykiem branej w lasy ludności znaczyli trasę pochodu. Sceny opisane przez Henryka Sienkiewicza w „Potopie”, gdy Babiniec weł Kmicie, odmawiając pacierza, patrzył na płonące wsie i słuchał łeków mordowanych, miały rzeczywiste miejsce. Najdotkliwiej ucierpiała południowo-wschodnia część Prus Książęcych, w tym miasto Elk i powiaty elcki i olecki. Około 1000 w Prusach Książęcych ordynicy obrócili w perzynę 15 miast i ponad 200 wsi.

Spora rolę odegrał Tatarzy w bitwie pod Prostkami 8 października 1656 r. w której hetman wojsk litewskich Wincenty Gosiewski pobił połączone siły szwedzko-brandenburskie. Strachowi i przerażeniu, jakie wywołał ordynicy w wojsku nieprzyjaciela, strona polska w dużej mierze zawdzięczała zwycięstwo. Swą ruchliwością Tatarzy zaskoczyli zupełnie przeciwnika. W bitwie tej ordynicy zdobyli liczne łupy oraz sporo jeńców. W ręce tatarskie dostał się między innymi ranny w głowę zdrajca książę Bogusław Radziwiłł. W swej „Autobiografii” Bogusław Radziwiłł napisał później: „Wojsko litewskie i orda [...] uderzyły na mnie, którym długo, potężnie resistendo [stawiając opór], tandem [w końcu] poleć wszyscy musieliśmy. Mnie w głowę bardzo rannego, na ziemi tuż leżącego, chorągiew Subchana Ghaziego agi erodem przy chorągwi będącym, bardzo długim i ostrym, do ziemi przyspoliczył, chciał, ale porwałem ręką za grot i tak Bóg chciał, że u mnie w reku został grot, od drzewca się ulamawszy [...]. Prowadził mnie [potem] przy koniu ordyniec z pół milii”.

Posiłki tatarskie przeciw Szwedom zostały wysłane do Rzeczypospolitej późną wiosną 1656 r., a więc prawie rok po najazdzie Karola X Gustawa na Polskę. Był to stosunkowo niewielki czambuł ordy budziackiej. Według znawcy przedmiotu Bohdana Baranowskiego, czambuł ten liczył około 2000 żołnierzy. Na czele korpusu ekspedycyjnego stanął „wojewoda ordy białogrodzkiej”, znany polityk tatarski, Subchan Ghazi aga. W 1649 r. walczył przeciw Polakom pod Zbarażem, rok wcześniej dowodził jednym z czambułów na Ukrainie. Początkowo uchodził za przeciwnika porozumienia z Polską, potem stał się jego żarliwym zwolennikiem.

Posiłki tatarskie przybyły do Polski w początkach lata 1656 r. 27 lipca Subchan Ghazi aga miał uroczystą audyencję u króla Jana Kazimierza. Po powitaniu ofiarowano mu w podziękowanie szablę wysadzana turkusami. „Ta szabla rozbiła w puch królewskich wrogów” — stwierdził Subchan Ghazi aga z typowo wschodnią przesadą. Jego wypowiedź została mile przyjęta przez wszystkich, szczególnie przez królową Ludwikę Marię. Donosiła ona swej przyjaciółce, pani de Choisy: „Rozmowa jego zabawna i pełna dowcipu. Gdybyś kiedyś potrzebowała Tatarów, pisz do mnie, dowódcą ich jest moim przyjacielem i powiada, że okrom króla i Pana [Stefana] Czarnieckiego, tylko mnie jedna szanuje”. Wyjaśnimy, że Stefana Czarnieckiego znał Tatarzy z wcześniejszych walk z Chmielnickim na Ukrainie, i że załpował im odważa, szaleńcza brawura, talentem wojennym i sposobami walki, bardzo odpowiedzialnymi ordzie.

W trzydniowej bitwie ze Szwedami i Brandenburczykami pod Warszawą (28—30 lipca), która ostatecznie zakończyła się klęską wojsk Rzeczypospolitej, Tatarzy wzięli też udział i należy stwierdzić, że odegrali w walce dość poważną rolę. Przewodził do pułku dobrego dowódcę, takim był Jan Sobieski, podówczas chorągiew koronny, a później król Polski, śmiały atakami wywołał przerażenie żołnierzy szwedz-

Dla Tatarów książę Radziwiłł stanowił cenna zdobycz, gdyż za wkup tego z niewoli spodziewali się dostać znaczne sumy pieniężne. Odebranie ordyncom Radziwiłła przez stronę polską mocno ich rozgorczyło. Ponieważ niedługo potem posiłki tatarskie opuściły Polskę, niektórzy badacze uważali nawet, że nastąpiło to z powodu zatargu o Radziwiłła. Prawda była jednak inna. Tatarzy zdobyli tuż tyle łupu i tyle łasyru, że trudno było im się poruszać, musieli więc pomyśleć o powrocie. Tylko niewielki oddział polsko-litewski został dłużej przy wojsku polsko-litewskim i brał udział w dalszych walkach ze Szwedami i Brandenburczykami, reszta, obliczona bożata zdobycza, wróciła do kraju. Po drodze zatrzymali się dłużej na Podlasiu, gdzie ku swemu, zdaje się, zdumieniu, Tatarzy napotkali wiele zamieszkałe przez ich pobratymców. Linków, wprowadzających się z ziemi dawnej Ziemi Ordę Chanatu Kazanckiego i Krzymskiego Wracając, nadal porbywali się nadmiernej liczby jeńców sprzedających ich po dość niskich cenach. Sporo jeńców zawędrowało jednak w łukach aż na Krym.

nas opomowiamy i ofiar. Dzisiaj ofiary mierzą, jutro już może ofiary krwili. I w tych chwilach, zdawałoby się: bardziej ciężkich, trudniejszych, wydaliśmy się sobie lepszymi. Potrafilimy odrzucić nagromadzony stek urazów, pretensji, drugorzędnych kwestii — zmobilizowaliśmy się duchowo bez wyjątku wszyscy, stwierdzając, iż należymy do rządu narodów wielkich, których specjalne jakiegoś rygory nie muszą uczyć patriotyzmu, kształcić państwowych instynktów. Dzień Zmartwychwstania Pańskiego zastał nas duchowo odrodzonymi — tak śmiało możemy powiedzieć".

"Świadomość zbliżającej się burzy jest więc oczywista. Wspierają ją przemierzane z reklamami tytuły o groźnym pogmatwaniu się europejskich spraw. To już nie sygnały, to twarda rzeczywistość. „Rugowanie Polaków z Prus Wschodnich”. „Rozmowy szlabów Włoch i Niemiec”. „Włosi okupują Albanie”. „Zawieszenie komunikacji lotniczej na terytoriach Czech i Słowacji”. „Niemiec znieważał państwo polskie”. „Zastawiający atak niemieckiej prasy”. Z drugiej zaś strony umacnia nadzieję wielki polityczny prezent od rządu dla narodu — podpisany właśnie w Londynie układ o żelaznym sojuszu. Minister Beck spieszy się na Święta do domu. Spędzał je będzie najpewniej w poczuciu triumfu.

Tymczasem kapitalny reportaż specjalnego wysłannika „Wieczoru” na londyńskie rozmowy pokazuje, w jak odmiennych obszarach oscyluje świadomość obu narodów, jak pozorne jest zrozumienie, jak rozbieżna ocena aktualnej sytuacji. Reportaż umieszcza owe „polskie dni” w Londynie w wymiarze swoistej tragifarsy. Poczytajmy.

„Fakt przybycia min. Becka w brązowym ubraniu, w wielbłądzim płaszczu i miękkim kapeluszu był szeroko komentowany. [...] Pułkownik Beck powiedział jedno słowo po angielsku »How do you do«, którego nauczył się w pociągu od swego towarzysza hr. Potockiego. [...] Zainteresowanie pobytem polskiego ministra było duże. Zwrócono uwagę, że książka Kentu na lunch wydany ku czci min. Becka pojawiła się ubrana w zupełnie nowy typ kapelusza, przybranego białymi strusimi piórami. [...] Do niedawna przeciętny Anglik wiedział o Polsce tyle tylko, że jest taki kraj, gdzieś daleko na Wschodzie za Niemcami. Poza tym Polakami nazywano w Londynie Żydów polskich, którzy stanowili i stanowią dużą grupkę imigrantów [...]. Teraz nagle zaczęło się wielkie zainteresowanie Polską. Szewc Polak, zamieszkały od lat w stolicy Anglii, skarżył mi się na to, że nie ma chwili spokoju, bo od tygodnia ciągle go wszyscy wypytują, gdzie leży Polska, jakiej jest to duże, czy tam mówią po niemiecku, czy po rosyjsku, czy jeszcze inaczej [...]. Od paru tygodni pisma angielskie pełne są map. Czytelnik prasy londyńskiej nie mógł nie zapoznać się z położeniem geograficznym Polski. Wielu Anglików wie już nawet, że Polaków jest 34,5 miliona!"

Tak w scenarii strusich piór, wielbłądzich płaszczów i politycznych komentarzy szewców rodziły się egzotyczne sojusze, mające uratować Europę.

Ale w świątecznym wydaniu „Wieczoru” elementy, nawet niezamierzonej goryczy to jedynie margines. Bo oto znowu cała strona humoru i satyry, z anegdotami szkockimi, ormiańskimi, amerykańskimi. Cztery obrazkowe komiks i reklamy, reklamy, reklamy. Niezliczony wybór proszków do prania (sic!) i: „Czy wiesz, co ci grozi? Chroń się używając tylko najpewniejszych »Olla« gum...!” A obok wiadomości z rodzimej łączki kryminalno-obyczajowej. „Niepoprawny zbrodniarz skazany na 15 lat więzie-



## Ostatnia Wielkanoc przed burzą

nia". „Bandyta podpalił wieś i zginął w walce z policją”. „Tragedia zasłużonej działaczki — Wyskoczyła z pędzącego pociągu”. „Za napad i morderstwo skazani dwaj młodociani bandyci”.

Ale „Wieczór” to z całą pewnością nie brukowiec. Żywość i rozmach, z jakim zredagowano wielkanocne wydanie 1939, mógłby zastanowić niejednego dzisiejszego wydawcę pism cierpiących na niedobór czytelniczy. Przenieśliśmy się więc ponownie w pierwsze kwietniowe dni sprzed pół wieku. Może tym razem w wymiarze czyści świąteczny. Oto jakże współczesny i dobrze znany problem rodzinnych uczuć, wtopionych w świąteczną niecodzienną. „Obliczyłem starannie wydatki i projekt wyjazdu na święta okazał się zupełnie rozsądny. Kiedy kupiłem wczoraj bilety, zostało mi przy duszy sześć złotych. Aby na kosztła reprezentacji. Jeszcze dziś rano, dopychając kolanem walizkę, byłem pewny, że spędzę święta pod znakiem praktyczności. A już w pięć minut później okazało się, że gorzej na ołtarzu miłości rodzinnej. Bo kiedy wychodziliśmy na dworzec, w bramie spotkaliśmy malowniczą grupę. Przodem szła Anielka z małym. Za nią postępowała niania z tobołkami. Na końcu kroczył Broniek. Dwa wrogi obozy przez chwilę mierzyły się niepewnym wzrokiem.

« — Bo widzicie, smutno nam było samym w święta, więc chcieliśmy wam zrobić niespodziankę. A na wsi teraz brzydko...» — tłumaczył Broniek. Biletów nie udało mi się sprzedać na dworcu, nawet za pół ceny. Ale Anielka przywiozła sześć gomolek swojej roboty... Resztę weźmie się od kupca na księżeczkę...»

W kinach uroczyste wielkanocne premiery: francuska „Bitwa nad Marną” i polski „Dr Murek” według Dołęgi-Mostowicza, z Brodniewiczem w roli głównej. Chyba przez przypadek zaplątała się tu także informacja o repertuarze kin lubelskich. I tak: w Apollo — „Czarny księżyc”, Corso — „Serca uliczników”, Stylowy — „Więzienie kobiet”, Gwiazda — „Golgota”, Rialto — „Piętro wyżej”, Venus — „Ułani księcia Józefa”. Fotoplastikon — „Grecja”. Lza się w oku kręci. (No, nie było telewizji. To fakt).

Nie próżnowali również sportowcy: „W niedzielę w stolicy nie ma imprez. W Poznaniu odbędzie się mecz bokserki juniorów Polska — Niemcy, oraz piłkarski Warta — Fortuna Dusseldorf. W poniedziałek w Warszawie na boisku Warszawianki o godz. 16 mecz Warszawianka — Gedania”.

Z przyjemnością stwierdzano także, że poziom reklam świetlnych w stolicy systematycznie się podnosił: „Ostatnio zainstalowano bardzo gustowną reklamę neonową przy zbiegu ul. Marszałkowskiej i Siennej. Jest to wielka butelka vermouthu »Cinzano« wysokości około 8 metrów, w bardzo estetycznych, naturalnych kolorach. Neon zwraca ogólną uwagę przechodniów”.

W operze ogłoszono tani tydzień świąteczny. Ceny biletów od 40 gr do zł 3.50, „są dostępne dla każdego”. A repertuar przebojowy.

Reklamy i świąteczne życzenia od Blikiego, Wedla i innych przerywają rozrzucone na wielu stronach apele: „Złóż ofiarę na F.O.N.”. Gazeta pisze zresztą o całej akcji obszernie: „Dary

w złocie na lotnictwo. 85 proc. inteligencja pracująca. Brak bogatych ofiarodawców”. Jest i artykuł o wzruszającym geście śląskiego robotnika. „Śląski robotnik Kuśnik ofiarował tysiąc złotych, oszczędności z całego swego życia na lotnictwo. Wiemy, co to znaczy tysiąc złotych, oszczędzone w ciągu znojnego robotniczego żywota. Wiemy, ile pracy, wyrzeczeń i najtwardszych ograniczeń, ile nadziei na przyszłość pochłonęła ta ofiara!”

I wobec tej jedności, wobec powszechnego zrywu, jakby wstydliwie, na uboczu taka oto informacja: „Dowiedujemy się, że prokurator Sądu Okręgowego w Warszawie udzielił Wincentemu Witosowi 6-miesięcznej przerwy w wykonywaniu kary. Wincenty Witos dnia 7 km opuścił więzienie w Siedlcach”. Tak to bez ustatku gmatwały się polskie losy.

Radio przygotowało świąteczny program. W Wielką Sobotę specjalny występ lwowskich komików Szczepcia i Teńcia, dużo muzyki poważnej i powieść „mówiona” Marii Kuncewiczowej: „Dialog o zmierzchu”. W niedzielę — muzyka taneczna. Warszawa I i II kończyły swoje audycje parę minut przed północą.

I jeszcze tekst Medarda Kozłowskiego. „Nie mieliśmy dotąd w Odrodzonej Polsce tak radosnej Wielkianocy. Cokolwiek jeszcze, wcześniej lub później, mogło nadejść, nie już nie zmał, nie osłabi tego potężnego hymnu uczucia, który biorąc początek w nastrojonych na jedną nutę sercach wszystkich Polaków, rozlega się szeroko i jest słyszany na całym świecie. Nie wszyscy może jeszcze rozumieją, dlaczego Polska raduje się, stojąc wobec możliwości wielkich prób dziejowych. Tylko sami wiemy dobrze, skąd płyną te akordy wesela i dumy narodowej. Podjęliśmy męską decyzję, poczuliśmy szacunek do samych siebie”...

Każde święta, to czas swoistej nostalgii i uświadamianej wciąż na nowo jedności z najbliższymi. Nie od rzeczy będzie więc tych kilka myśli o Wielkanocy 1939. Jeśli nie była ona najradośniejszą w odrodzonej Polsce, była przecież z całą pewnością — ostatnią. I dlatego pozostała „Wieczór Warszawski”, oprócz zadumy, refleksji i wzruszenia, wywołuje także o wiele szersze dziejowe konotacje. Jest przecież jakby świadkiem ostatnich dni pewnej epoki, już wkrótce wymazanej z historii z nieznaną przedtem bezwzględnością.

Wiesław Horabik

Reprodukuje: Maciej Kaczanowski



Kazimierz Śladowski

### TAM GDZIE TRZY MIEDZE

Tam gdzie trzy miedze w jeden węzeł spłoty się obok żywoplotu by piąć się szorstko i okrzęnie do wysokości... do obłoku,

Tam mój chmurowy szalas z ptakami i moje wszystkie ruchomości

po które co noc wszyscy diabli sfruwają z piekieł by pogościć...

A potem rozkrasć do litery każdy wars, motto, każdą cyfrę a mnie zostawić bez nadziei w korzeniach krzewów, tuż przed świtem...

### O SOBIE

Gdzieś między Narwią i Otwockiem leśnym wśród równin polnych i uliczek miejskich

blądzi wśród nocy gwiazdzistych i chmurnych kopia poety, jego cień odludny

Przed Nagoszewskim pomnikiem — w deszczu odmawia często wiersz po wierszu...

jak by się modlił do tych co w grobach odpoczywają po bólach i trwogach Czasem usłyszeć możecie go w trzcinach jak tańczy grząsko, jak się uwiija

z akordeonem mniejszym od czapki by go słyszały ryby i pijawki

A kto nie wierzy w jego istnienie w tego przekleństwie albo kamieniem...

# Okolice sztuki

## Hartwig

**E**DWARDA Hartwiga nie pociągał zawód fotografa, uprawiany przez jego ojca, ani też bardziej wyrafinowane działania z kamerą, które banana motyw pary nowożeńców potrafią zamienić w uniwersalną metaforę złudnego szczęścia. Jako młody człowiek gdzieś indziej spoglądał.

Tak się jednak stało, że Hartwig od ponad 60 lat wykonuje zdjęcia: cenione w świecie, nie ulegające dewaluacji artystycznej, bogate pod względem informacyjnym, czarno-białe i kolorowe, pejzażowe, portretowe, rodzajowe, eksponujące czystą formę i jakie jeszcze chcecie. Jest to twórczość tak bujna i różnorodna, że porównywalna może tylko z naturą.

Hartwig z wyjątkową zresztą czułością traktuje przyrodę, o czym świadczą jego pejzaże fotograficzne, ujmowane na sposób malarski lub graficzny, autonomiczne wobec modelu czy też wynoszące właściwą mu urodę. Ale również w zdjęciach architektury, przedmiotów i ludzi Hartwig ujawnia swoje zaciekawienie samą materią obiektów, którą przy pomocy różnych zabiegów technicznych niejako zagęszcza, to znów rozchyla, by odnaleźć wreszcie to, co wydaje mu się specyficzne dla danej rzeczy, zjawiska, dla konkretnego człowieka. Twórczość Hartwiga, mówiąc najogólniej, to rezultat autorskiego podróżywania po zmysłowym świecie materii, której sensy i znaczenia artysta nie tyle odkrywa, co znajduje — „pomagając” im przecież w inkubacji.

Owszem, są w dorobku Hartwiga rozdziały inscenizowane na sposób symboliczny czy alegoryczny, związane np. z życiem teatru, ale zza kulis takiego postępowania także wychyla się sentyment autora do urody samej materii.

Czy w fotografiach Hartwiga przegląda się prawda o świecie, o człowieku?

Kiedy patrzę na portret Wiktora Ziółkowskiego, z którym przed laty Hartwig pozostawał w bardzo bliskich stosunkach, skłonny jestem powiedzieć, że tak, że mam przed sobą prawdziwy wizerunek starego ironisty i sceptyka. W tej pomarszczonej twarzy czai się dystans do otoczenia, pobłażliwość, ale i ochota, by zakpić sobie choćby z fotografującego go przyjaciela. Na tym zdjęciu jest „cały” Ziółkowski, na pewno!

Kiedy oglądam zdjęcie montażu podium-oltarza dla papieża w Warszawie, w sąsiedztwie dyskretnie wymykającego się z kadru Pałacu Kultury i Nauki, również uznaję tę notację za prawdziwy reperfuaz zza kulis przygotowań do wiadomej uroczystości, której właśnie sąsiedztwo budowli z lat pięćdziesiątych nadaje dodatkowe i specjalne znaczenie.



Przyjaciel Wiktor Ziółkowski

Fot. Edward Hartwig

Kiedy jednak wpatruję się w „Krzesa”, „Basniowe wierzy”, „Paradę drzew”, to znajduję tam przede wszystkim doskonale fotografie Edwarda Hartwiga, choć przecież identyfikuję w tych zdjęciach i krzesa, i drzewa.

A kiedy przypominam sobie wiele innych prac artysty, powstałych w różnych latach, dochodzę ostatecznie do wniosku, że w fotografiach Hartwiga przegląda się jego prawda: o naturze, człowieku, kulturze i cywilizacji.

To jest oczywiście wniosek banalny, wytarty w akademickich dyskusjach nad problematyką prawdy obiektywnej i prawdy artystycznej, ale w końcu ilu mamy w kraju fotografików, o których można bez zakłopotania powiedzieć, że w serdecznym związku pozostając z Ziemią, wykreowali jej

wizję własną, zwyczajnie piękną, nieustannie atrakcyjną dla widowni elitarniej i szerokiej, taką, jaką właśnie dał Hartwig?!

Tyle z okazji indywidualnej wystawy Hartwiga w lubelskim BWA, poprzedzającej wielką ekspozycję artysty w warszawskiej „Zachęcie”.

Przypomnijmy na koniec, że Wydawnictwo Sport i Turystyka przyjęło niedawno do druku kolejny album artysty: „Kazimierz nad Wisłą”, przygotowany przez byłego lublinianina wraz z córką Ewą. Widziałem te zdjęcia: doskonale warsztatowo, oryginalnie, przedstawiające wiele takich motywów, których sami kazimierzanie nie zdążyli dotąd znaleźć!

IJK

# Ekran i widz

## Airyka po „amerykańsku”

**N**IE lubię remake'ów. Zazwyczaj — mimo zastosowania najnowszej techniki filmowej, a może właśnie dlatego? — sdycają one dawne ekranowe opowieści, odzierają fabule z cechującą tamte stare filmy, szlachetnej romantyki; zbyt nachalnie kokietują widza, nie przebiegając w środkach, aby zapewnić sobie taki poklask szerokiej widowni.

W 1960 r. polska publiczność chodziła tłumnie na film „Skarby króla Salomona”, nakręcony na podstawie powieści cieszącej się wielkim powodzeniem na przełomie XIX i XX w., angielskiego pisarza Henry'ego Ridera Haggarda — przez reżyserów Comptona Bennetta i Andrewa Martona. Główne role grali w nim uroczą Deborah Kerr i przystojny, męski Stewart Granger. Film powstał, nawiasem mówiąc, dziesięć lat wcześniej, w roku 1950, przy wykorzystaniu wysokiej klasy kamer filmowych, na barwnej taśmie. Właśnie za wspaniałe zdjęcia afrykańskiego pejzażu oraz tamtejszej fauny operator Robert Surtees otrzymał Oscara.

Atrakcyjność fabuły wcale nie ustępowała atrakcyjności przyrody. Film opowiadał historię młodej, angielskiej, bogatej arystokratki, która w końcu XIX w. przybyła do Nairobi, a stąd wyrusza w głąb Czarnego Lądu, aby odnaleźć zaginionego męża, poszukiwacza mitycznych skarbów króla Salomona, znajdujących się w dawnych kopalniach, strzeżonych piśnię przez najdziksze afrykańskie plemiona.

W miarę rozwoju akcji, pomiędzy filmową Elizabeth Curtis a zatrudnionym przez nią przewodnikiem i kierownikiem ekspedycji Allanem Quatermainem zaczyna narastać sympatia, przefabrykująca się w uczucie. Nie więc dziwnego, że w finale filmu, po całej serii niezwykłych przygód, takich doświadczeń para śmiarków, i po odnalezieniu skarbu, następuje happy-end, przypięczeniowy zresztą stwierdzeniem dużo już wcześniej: „Śmierci poszukiwanego męża”.

„Skarby króla Salomona” nie były jednak tylko egzotyczno-przygodową historią. Miały swoją głębszą, ambitną warstwę. Afrykańska wyprawa bohaterki nie wynikała wcale z chęci odnalezienia ukochanego męża. Podjęta była przez nią przede wszystkim dla udowodnienia samej sobie, że niekochany mężczyzna już nie istnieje, że trzeba raz wreszcie skończyć z obojętnością i zyciowo bohaterkę fikcją trwania nieudanego małżeństwa... W tym aspekcie „Skarby króla Salomona”, przy swych cechach awanturkowo-przygodowego melodramatu, były wcale nie takim płytkim dramatem psychologicznym, rzuconym tylko na wyjątkowo atrakcyjnie namalowane tło.

Obecna adaptacja książki Haggarda została dokonana w sposób nader dowolny. Właściwie wymyślono większość akcji na nowo, odwołując się jedynie do przypomnienia głównych postaci oraz markując drogę nary bohaterów, wedrujących po podobnych co ich poprzednicy śladach w stronę kopalń króla Salomona. Zmieniono zresztą również tytuł filmu — na „Kopalnie króla Salomona”.

Rzecz cała osadzono w czasie o kilkanaście lat późniejszym, w przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej (co dało możliwość wprowadzenia do akcji takich zdobyczy techniki, jak samochody i samoloty), przy wydobyciu, na dodatek sprawy kolonializmu niemieckiego na wschodnim brzeżu Afryki.

Wiecej: z niedysyjnego przygodowego melodramatu zrobiono zwirowana komedio-baśń w stylu Stevena Spielberga. Nafaszerowana obficie nieprawdopodobnymi sytuacjami, gazami, bastonadą ślano-stickiem, słownymi „grenami” i pseudosatyrycznymi „odzwkami”, mającymi wywoływać nieustanny rechot widowni. Dzielna amerykańska dziewczyna Jessica Huston, bardzo swobodnie alter ego lady Elizabeth Curtis, wali pięścią w mordę napaśników, a zafascynowany nią Allan Quatermain (Richard Chamberlain pozuający niezbyt udatnie na spielbergowskiego Indianę Jonesa) strzela figlarnie ze swej rewolwerowej wielkokalibrowej dwururki przeciwnikowi-sadyście — prosto w jaja...!

Potem bohaterowie filmu latają porwanym niemieckim samolotem (którego — oczywiście — nie potrafią prowadzić), są gotowani w kotle przez ludożerców; o mały włos nie została nożarci przez krokodyla (co było już raz mamy na ekranie krokodyla w ostatnich czasach?!); aż wreszcie trafiają do upragnionego celu, czyli do kopalń Salomona.

I właśnie wtedy rozpoczyna się najbardziej inelowa, najmniej pomysłowa, niewyobraźalnie nudna (mimo „budzących groze” efektów) ostatnia sekwencja, będąca niezamierzona, nieudolna karikatúra tego, co Spielberg pokazywał lub mógłby pokazywać w swych opowieściach o przygodach Indiany Jonesa. Aż wreszcie następuje — długo oczekiwany koniec tego filmu!

Lubię, i od lat z uwagą i zaciekawieniem śledzę, kino popularne, bo wynika ono zresztą z istoty sztuki filmowej. Jest jej główną treścią. Ale musi być to kino robione z talentem. Wynikające z osobowości reżysera. Tak, jak to się dzieje w przypadku Spielberga.

Grzej, kiedy znajduje on mało udolnych naśladowców. A jeszcze bardziej źle, gdy w ślady Spielberga zaczynają wkraczać reżyserzy... siedemdziesięcioletni; tacy jak opropomniomni zresztą wielu wybitnymi realizacjami Thompson. Ilo później powstała dzieła czwartorzędne, w rodzaju „Kopalnie króla Salomona”.

Napisałem w tytule, że chodzi o Afrykę pokazaną po „amerykańsku”. To znaczy, dodajmy: według najgorszych, najbardziej prymitywnych hollywoodzkich recept i wzorców. No bo przecież nakręcone w 1950 r. „Skarby króla Salomona” to był także film amerykański, wyprodukowany przez wytwórnię MGM, a jakże między tymi dwoma obrazami kolosalna różnica!

M. D.

# OGŁOSZENIE

OPOLE Lubelskie — sprzedam dom murowany, pow 65 m kw. Oferty: 4332 — Biuro Ogłoszeń, Rybna 13

032-0

## Pocztą literacka

Eugeniusz K. Siedlce. Podobają mi się wiersze „W szpitalu”, „Stolek” i zaczynający się od: „Nie dziel się ostatnią kromką chleba”. Mało miejsca w „Kamieniu” nie pozwała mi jednak składać Panu przedwczesne obietnice.

W „Fudelku” oraz w wierszach, których pierwsze linijki brzmią: „Podwórka na Pułaskiego” i „Lubię perony...”, znajduję cichej reportażu, szczegółowego opisu. Czy więc interesuje Pana również proza?

Maria B. M. Justynów k. Łodzi. Należy Państwu do tych piszących, którzy podejmują problem patriotyzmu, nie boją się słów takich, jak: ojczyzna, Polska, Rzeczka, więc cieszę. Rzecz jednak w tym, aby zapamiętać przestrogi Asnyka. Te nazwania wymagają oprawy w dobrą poezję, a jej próżno u Pań szukać.

Aleksander S. Lublin. Większość utworów sprawia wrażenie, iż nie czyta Pan współczesnej poezji lub ją ignoruje. Dołączył Pan list Zygmunta Mikulskiego z połowy 1973 r., w którym napisał on m. in.: „Zdradzają (wiersze) mój załob doświadczeń literackich, pewne nieotrąskanie z użytkownikom słowa, Jeżeli chodzi o ładunek intelektualny, zbyt tam wiele wyważania otwartych drzwi”. Pański dopisek na marginesie: „To kiedy? A teraz?” No, cóż minęło trzydzieści lat, a zarzuty pozostały. Postada Pan obecnie większa sprawność wyrażania myśli ale czyni to Pan zbyt rozwiśle. Rytmika leniwa, a tam gdzie treść nowsza, wszechobecna jest publicystyka, jakże obca prawdziwej poezji.

Andrzej S. Lublin, Jan i Tadeusz M. Górki. Istotnych pretekstów do dyskusji brak.

TJ

